FERENIKE I PEJSIDOROS

LUCYAN RYDEL

FERENIKE I PEJSIDOROS

OPOWIEŚĆ KULTURALNO-OBYCZAJOWA
NA TLE IGRZYSK OLYMPIJSKICH

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1909

ODBITO W DRUKARNI W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE
KLISZE T. JABŁOŃSKIEGO I SPÓŁKI W KRAKOWIE

I.

Jak zawsze tak i w tej 88 olympiadzie (r. 428 przed Chr.) igrzyska przypadły na miesiąc Hekatombajon, odpowiadający drugiej połowie czerwca i pierwszej lipca. Tej nocy była właśnie pełnia księżycowa po letniem przesileniu, nazajutrz tedy, wedle prastarego zwyczaju, rozpoczną się uroczystości olimpijskie. To też pusta i cicha kiedyindziej dolina krętego Alfejosa zaroiła się już od kilku dni tłumami ludzi.

Pierwsi zjechali ze wszech stron przekupnie i kramarze. Powbijali w piaski nadrzeczne setki wysokich kołów, powiązali jedne z drugimi zapomocą poprzecznych żerdzi, a nakładszy na nie gałęzi uciętych świeżo, poczynili sobie cieniste letniki, gdzie na stołach i ławach rozłożyli najrozmaitsze towary. Stały tam rzędami piękne wyroby zdunów attyckich, korynckich i apulijskich: więc potężne *kratery* do mieszania wina z wodą, podobne dzwonom glinianym, wykwintne *amfory* dwuuche, o liniach giętkich i płynnych, smukłe *lekythy* i krągłe *hydrie* na wodę, wdzięczne *ojnochoy*, nalewki do wina, cudne *kylixy*, czyli płaskie czasze

do picia i misy wyrabiane misternie, a wszystko na tle czarnem jak heban pomalowane w czerwonawe postaci bogów i bohaterów, liście i palmety. Obok można się było napatrzyć wytwornym bronzom z Koryntu i Sykionu, posążkom bóstw, bogato rzeźbionym trójnożkom ofiarnym i wysokim *lampaterom*, co w kształcie zdobnych kolumienek wystrzelały z prześlicznej podstawy. Złotnicy z Athen i Syrakuz wystawili cuda swojej sztuki: wisiory i kolczyki wzorzysto wite z drucików cienkich jak włos, naramienniki, naszyjniki, zapinki mistrzowstwem niezrównanem cenniejsze stokroć bardziej, niźli drogością kruszcu. Dalej wisiały na sznurach piękne *chitony* doryckie sięgające do kolan, tkane z cienkiej białej wełny, i jońskie, długie aż do ziemi, z przedniego lnu zdziałane; *himationy* dla mężów i niewiast mlecznobiałe i szafranem zabarwione; *chlamydy* krótkie i fałdziste, przeznaczone do jazdy konnej dla młodzieńców.



I dla ubogiego ludu nie brakło tańszej odzieży, ni błyskotek ze srebra i pozłacanej miedzi, ni glinianych naczyń pospolitszych, ale zawsze o szlachetnym kształcie. Jest wszędzie czem pożądliwe oczy nasycić. Nie ucierpią też głodu mnogie rzesze z najdalszych krańców helleńskiego

świata. Oto na ziemi stoją szeregami kobiałki pełne chleba i kołaczów; beczki z owocem oliwnym zaprawianym w occie, a drugie pełne ryby solonej; groch i bób gotowany świeżo dymi jeszcze w kotłach, gdzieindziej piętrzą się baryłki suszonych fig zeszłorocznych i rodzynków korynckich, a przy nich uśmiechają się w słońcu kosze wisien, jabłek i gruszek.

Półnadzy, ledwie skórami przysłonięci pasterze z Arkadyi i Messenii, na grzbiecie mułów nawieźli gomółek białego sera i przygnali przed sobą trzody całe baranów i kóz gwoli ofiar dla bogów i pożywienia dla ludzi. Eleja dopędziła stada rogatego bydła. Na postój wszystkim onym zwierzętom wytyczono w dole rzeki obszerne zagrody, kędy i skotarze legli przy swoim dobytku.

Ostatniego dnia, od rana do wieczora nadchodziły nieprzerwanie gromadne *theorie*, orszaki pątników świetne i strojne, co z pieśnią na ustach i bezcennymi darami dla piorunnego rodzica bogów i ludzi spieszyły ze wsząd, gdzie jeno podzwania melodyjna



grecka mowa. Jedni lądem ciągnęli z Peloponnezu, Attyki, Bojotii, Thessalii, drudzy wydrążonymi statkami przepłynąwszy słone morze, zawijali na zachód od Olympii, do elijskiego portu, Phei: tych zdalsza jeszcze wiodło plemienne poczucie helleńskie, z kresów odległych wschodu i zachodu, z wysp egejskich i z małoazyatyckich wybrzeży lub z Wielkiej Grecyi i Sycylii. Pozłociste rydwany zaprzężne czwórką rumaków w jeden rząd, wiozły możnych młodzieńców, którzy jechali stanąć do wyścigu w hippodromie. Tłumnie było i gwarno nad Alfejosem. W pośród nieprzeliczonego pogłowia ludzkiego nie brakło żadnego stanu ni zawodu: w oni obywatele i niewolnicy, sławni dostojnicy demokratycznego rządu miast i rzeczypospolitych całej Grecyi, samowładni tyranowie jońskich osad w Azyi Mniejszej, otoczeni służbą i dwo-



karami; poeci, artyści, mędrcy, których imiona brzmiały na ustach wszech ludów hellenskich, a w ciżbie ocierali się o nich śpiewacy wędrowni, z kitharą przewieszoną na pasie, fletniści najemni, tancerze, kuglarze, skoczkowie. Nie widno było jedynie bohaterów dnia jutrzejszego, bo siłacze i szybkobiegacze, zapaśnicy i szermierze, według przepisów olym-



pijskich, już od wielu tygodni przysposabiali się do uroczystego wystąpienia, odbywając nieustannie próby i ćwiczenia w obrębie Altis, Gaju świętego, w gymnasyonie na ten cel umyślnie zbudowanym. Niewiele też było kobiet, odwieczny bowiem surowy zakaz broniał im wnijścia do Gaju świętego w czasie trwania igrzysk pod okropną karą: któraby się ważyła nogą stąpić do Altis, bez miłosierdzia strącona będzie ze skały Typajońskiej, co dziko sterczy po tamtej stronie rzeki.



We dnie pod skwarnemi promieniami słońca wrzało i huczało nad Alfejem stutysięczne owo mrowisko ludzkie, lecz kiedy noc ambrozyjska pościerała z nieba i z gór ostatnie promienie zorzy wieczornej i świat przesłoniła ciemnością, jęły powoli gasnąć ognie a gwar w dolinie cichnął i ustawał. Niebawem z poza gór Saurosu wytoczył się na wschodzie wielki, pełny krąg miesiąca,



rozpostarł mleczną swoją poświatę po lesistych wzgórzach, deszczem srebrnych skier jął dygotać po rzece, ubielił

kolumnady świątyń, majaczące między drzewami gaju świętego.

Zdala od obozowiska, na piaszczystym brzegu Alfeja siedziało dwoje ludzi. Rozmawiali szeptem, ale z piersi wezbranej wyrywało się im czasem głośniejsze jakie słowo. Milkli wtedy nagle i trwożnie oglądali się dokoła.

— Bądź o mnie próżen obawy — mówiła kobieta. — Ślubiłam Zeusowi trójnóg pozłacany, Herze zasię trzykroć po dziewięć jałowic na ofiarę. Wysłuchają mnie i osłonią. Ty jeno bądź roztropny w słowach i postępkach.



— Nie czyń tego! Nie czyń tego! — szepnął, chwytając ją za rękę. — Sama nad sobą litość miej... i nademną!

— Mówisz jak dziecię małe, które nie wie, czego się lęka...

— Wiem... i ty wiesz dobrze.

— Ale ja nie umiem się bać i co postanowiłam, uczynię — odrzekła z mocą.

— I ja się nie bałem. Zdaleka wydawało mi się to łatwe... Ale teraz, tutaj — urwał nagle, podźwignął się na kolana i ręce złożył przed nią błagalnie:

— Nie czyń tego — wołał — na głowę moją, na cień ojca proszę cię, matko, nie czyń tego!!

Księżyc padał mu na młodą piękną twarz i lśnił w oczach jego wilgotnych.

— Ciszej, ciszej... Tu może kto być — szeptała, gładząc mu policzki — siądź przy mnie, słuchaj, mówmy spokojnie.

Usiadł, ale źrenic nie odejmował od niej; obie jej ręce ujął w swoje i rzekł niedosłyszalnym prawie szeptem:

— Widzisz-li matko, tę skałę? Pojźryj! Wiesz?... i wskazał ku Typajonowi.

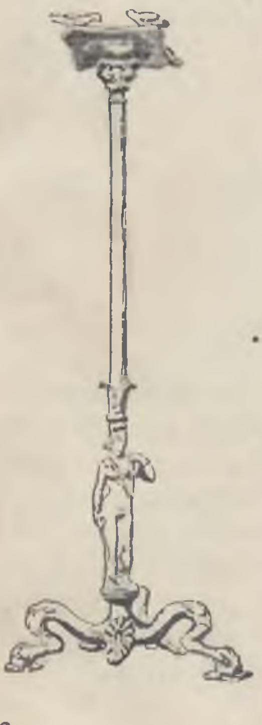
Drgnęła, lecz nie odrzekła nic. Przez chwilę milczeli oboje. Alfejos u nóg im pluskał, tocząc nurty wysrebrzane miesiącem. W ciszy nocnej dolatywały niewyraźne szmery obozowiska, co snem znużone dyszało. Nieopodal przy wtórze lutni głos jakiś młodzieńczy śpiewał odwieczną dorycką piosenkę Alkmana:

To nie Kyprida, to Eros szalony
Igra, swywoli.
Buja po kwieciu; więc kwiatów korony
Nie tykaj... boli!

Po chwili matka zaczęła półgłosem:

— Posłuchaj mnie, Pejsidorze. Dziad mój po dwakroć w Olympii zwyciężał. Dzieckiem pomnę, jak umierając, kazał sobie zeschłe szczątki wieńca dać do grobu. Trzynaście lat mi było, gdy po raz pierwszy z matką tu przyjechałam. Rodzic miał się w podwójnym biegu ścigać, a my zostałyśmy nad Alfejem. Cały dzień czekałyśmy z bijącem sercem. Otrzymał wieniec, a posąg jego zdziałany ręką Kalliklesa Megarejczyka w Gaju świętym stoi. Po dwakroć byłam tu później, gdy ojciec twój potykał się w zapasach i w walce na pięści. Ale oczy moje nie patrzyły na te dwa

dni chwały, w życiu jego najpiękniejsze. Na piaskach nabrzeżnych od rana do wieczora przesiedziałam w udręczeniu między obawą a nadzieją. Czasami dolatywały mnie od stadionu okrzyki, myślałam, że krew tętniąca rozsadzi mi skronie; płakałam i modliłam się bogom. Odniósł wieńce obakroć; Myron uczeń Ageladasa jego posąg uczynił rzucającego dyskiem. I postawion jest wedle świątyni Zeusa. Dwaj bracia moi także wieńce tutaj brali. A twój starszy brat, co mi go tak młodo pożarła wnet ona wojna nieszczęsna — pamiętasz jeszcze, jak powracał do domu zwycięzcą z Olympii, witany radością całego miasta? Nie byłam tu, kiedy biegał w stadionie, od śmierci ojca twojego w domu zagrzebana. I na cóż mi było przyjeżdżać? Na to chyba, iżbym znowu pod bramą jako pies wyczekiwała, niepokojem nękana? Żywiąca ziemia wszystkich mi zabrała, tyś mi sam jeden pozostał. Wnuka, córka, siostra, żona, matka zwycięzców, zawczasu dałam cię uczyć sztuki wszelakich mocowań i biegów. Pomnisz, jak z domu wyjeżdżając, prosiłeś mnie: »Jedź ze mną matko!«



— A ty mi rzekłaś wtedy: »Cóż po tem? Zwycięstwa, choćbyś je wziął, i tak nie obaczę...« Jakiś mi dajmon złowrogi podszepnął myśl tę szaloną, iżbyś w przebraniu mistrza-gymnasty weszła do Altis.

— Synowskie serce myśl ową ci

podpowiedziało, ja zasię macierzyńskiem do niej przyrosłam.

— Nieszczęście moje, nieszczęście!

— Przecz mi, synu, śpiewasz płone strachy?

— Kara jest okropna, śmierć nieodwrócona, gdyby cię poznali.

— Wiedziałam o tem pierwej, nimem cię porodziła.

— Od niepamiętnych czasów nie ważyła się na to żadna białogłowa.

— Nikt podejrzeń tem-ci pewniej mieć nie będzie...

— Ja truchleję, matko, — pomyśl o tem, co cię czeka!

— Obcięłam włosy; łzy słone zmyły — lata mi starły z twarzy krasę niewieścią.



— A jeśli cię wyda ruch albo głos kobiecy?

— Zdaj to na bogów i Doli ostaw nieubłaganej.

— Co będzie, co będzie z tego!!?

Łamał ręce i chwiał smutnie głową.

Położyła mu rękę na czole, a potem nagłym ruchem objęła go za szyję i przycisnęła do piersi, jak za dawnych lat, kiedy był małem pacholęciem.

— Nie trap się dziecko moje — mówiła cicho i łagodnie — wiem ja, czego chcę. Lepiej mówmy o tem, jak wziąć przed się wykonanie tego, co być ma! Lecz pierwej przypatrz mi się jeszcze.

Obejrzała się szybko dokoła, jakby się chciała zapewnić, iż nikt nie podgląda, poczem jednym ruchem zrzuciła z głowy himation, którem cała niemal do stóp owinięta była. Spojrzał i sam ledwie mógł oczom uwierzyć. W bladem świetle księżyca widział głowę jakoby nie matczyną, jeno jakąś obcą; porastały ją kędziory niedługie i odgarnięte z czoła, jak u mężów. I twarz wydawała się nie kobieca: przywiędłe, lecz jeszcze piękne i proste jej rysy, nabrały męskiej prawie siły; zaciśnięte usta miały wyraz niezłomnej woli. Spostrzegszy nieme zdumienie syna, uśmiechnęła się doń i prędko na głowę naciągnęła himation. Znowu miał przed sobą matkę.

— A co! Wierzysz-li teraz, iż mię nikt nie pozna? — pytała.

Rozpogodził się nieco.

— Jutro ze wschodem uroczysty pochód po Gaju, potem do południa bogom ofiary całopalne czynią. Jutro nie pójdę. Chcę dnia twojego czekać. Wonczas wmieszam się o świcie między gymnasty i z tobą razem jako mistrz twój do stadionu wnijdę.

— To możnaby uczynić najsnadniej.

— Mistrze gymnaści, czyli mają tam osobne miejsce?...

— U mety; obok dziewięciu Hellanodików...

Długo tak jeszcze oboje między sobą szeptem radzili. Tarcza miesiąca wysoko płynęła po niebie, kiedy się żegnali uściskiem. Patrzyła za nim chwilę rozmiłowanymi oczyma: widać go było, jak biegł między zachodnim murem Altis a lewym brzegiem Kladeosa, co z szumem wody swoje do Alfeju toczy. Tam palajstra zbudowana była i gymnasyon rozległe dla siłaczy.

Kiedy jej zniknął za węgłem palajstry, matka nawróciła ku namiotkowi, który dla niej rozbili byli słudzy. Wtem zimny dreszcz nią wstrząsnął: przed nią daleko, po tamtej stronie rzeki, rysowały się wyraźnie w blasku miesięcznym urwiska Typajońskie...



II.

Przed pierwszym rozbrzaskiem jęło się już budzić życie w obozowisku. Niebo szarzało i bladło na wschodzie, a księżyc przez noc nazbyt krótką nie zdążył jeszcze przepłynąć do końca drogi swojej: więc jakby w obawie, że mu przyjdzie stanąć oko w oko ze słońcem, któremu kradł promienie, omdlewał po zachodniej stronie i czemprędzej przyniżał swą tarczę o tępiejących krawędziach.

Tymczasem na brzegach Alfeja, w górę rzeki w siwej pomroce niewyraźnie zaczęły majaczyć mnogie, a coraz liczniejsze nagie postaci. Kąpał się kto żyw. Ciemne wody kotłowały się i roiły białemi ciałami ludzkiemi, powietrze rozlegało się od krzyków, śmiechów, nawoływań. W dole rzeki pasterze gnali do pojenia stada rogatego bydła, swywolnych kóz i beczących owiec.

Dniało, kiedy nad ujściem Kladeosa po trzykroć rozebrzmiały dźwięczne salpingi miedziane głosząc pobudkę do uroczystego pochodu. Jakoż w jednej chwili cała dolina zawrzała gorączkowym ruchem. Z tej i z tamtej strony wody ciągnęły tłumy nieprzeliczone z darami i objatami.

Wczorajsze theorie ustawiały się w jeden olbrzymi orszak; równocześnie wszystkiemi wejściami napływały do Gaju świętego tysiące ludu, który nie mogąc pomieścić się w pochodzie, pragnął przynajmniej świetnym uroczystościom napatrzyć się do woli, spieszył więc, by zawczasu najdogodniejsze zdobyć miejsce. Lecz taki był napływ, że słudzy świątyni na polecenie kapłanów niebawem zamknąć musieli wszystkie bramy, krom głównej, południowej, przy której straż ustawiono. Przed tą bramą, już poza obrębem Altis w Buleuteryonie czyli Radnicy było mieszkanie dziewięci Hellanodików; wybierani w pośród najzacniejszych obywateli elijskich, sprawowali oni rządy podczas igrzysk i rozdawali nagrody. Obecnie zajęci byli wprawieniem w ład ogromnego pochodu.

I znowu trzechkrotnie uderzyli trębacze w salpingi. Na ten znak od gymnasyonu i palajstry nadciągnęli miarowym krokiem współzawodnicy do wieńców olympijskich, a towarzyszyli swym uczniom gymnaści.

Niebo zapłonęło pożogą, wierzchołki lesiste pagórów okolicznych zapalały się kolejno różowym blaskiem, choć w dolinie leżały jeszcze ostatki błękitnawych cieniów. Nagle na wschodzie trysnął pęk świetlanych promieni, ozłocił całe niebiosa i odbity, zagrał rubinową łuną w zmarszczkach Alfejskich nurtów.



Trąby zagrzmiały w tej chwili po raz trzeci — pochód ruszył.

Przodem szło dwunastu muzyków, dmących w proste długie salpingi i w podwójne fletnie. W ślad za nimi postę-

powali obleczeni purpurą Hellanodikowie, pełni dostojnej powagi; podpierali się wysokiemi berłami, na których siedziały pozłociste orły, ptaki Zeusowe. Dalej, sprawieni w szeregi, jakby do boju kroczyli atleci, jeden w drugiego rosły i barczysty, niby dęby; to najświetniejsza strojna i dorodna młódź Hellady całej. Niejeden z nich miał zdobyty już wieniec w poprzednich Olympiadach i słynął po świecie zręcznością i siłą. To też w pośród tłumu, co murem stał po obu stronach drogi, po imieniu wskazywano ich sobie.

— Patrzcie, to Dikon, syn Kallibrotosa, Syrakuzanin.

— Ten ci jest Sostratos, rodem Sykiończyk, zwycięzca w zapasach...

— Który? Gdzie?

— Ów mocarny, brodaty...

— Widzicie Alkajnetosa Theantowego z Lamprei.

— To ten, co na ostatnich igrzyskach wziął wieniec w biegu prostym.

— Tamten jest Labax, Eufrona syn, pankratysta przesławny...

Oni zasię, słysząc to, nieśli się dumnie i pozierali wesoło.

Za nimi w długich, fałdzistych szatach postępowali kitharodowie, narzędzie swe srebrnostrune niosąc w pogotowiu do wtóru chóralnej pieśni, co zabrzmi przed świątynią Zeusa.

Potem w szatach błyszczących bielą, szkarłatem, szafranem, posuwały się mnogie poselstwa blizkich i dalekich ludów greckich, a każde jakiś dar znamienity prowadziło za sobą gromowładnemu Kronidzie. Po kilka par wołów z rogami złoconymi ciągnęło płaskie wozy kwieciem uwieńczone. Stały na wozach posągi bogów, bohaterów, albo

zwycięzców olympijskich rzeźbione w marmurze, lub ze spiżu lane; pacholęta z pękami kwiatów i oliwnemi gałązkami w ręku biegły przy wozach, szli też obok dzieł swoich i mistrze otoczeni rzeźbiarską czeladzią, by w Altis dopilnować ustawienia posągów. Za innemi poselstwami na drewnianych noszach dźwigano przecudne skrzynie, z hebanu, kości słoniowej i złota rzezane misternie, pełne klejnotów i drogocennych naczyń przeznaczonych do świątnicy; niesiono też trójnogi wspaniałe z najprzedniejszego bronzu zdziałane przez wybornych artystów i na wysokich drzewcach osadzone hełmy, tarcze i zbroje pozłociste, aby z nich pod kolumnadami świątyń ustawić wojenne panoplia na ozdobę i podziękę bogom. Lecz najokazalej ze wszystkich miast helleńskich wystąpiła tym razem Apollonia, osada Korkyrejczyków nad morzem Jońskiem. Jej mieszkańcy sami jedni składali Zeusowi darem trzynaście spiżowych posągów, które wieziono na trzynastu pięknie okwieconych wozach. Na twórcę tylu pysznych dzieł zwracały się też oczy tłumów z niemałym podziwem: był to mąż wieku średniego, drobny i śniady, rodem Argejczyk, Lykios, Myronów syn, który widno po rodzicu wziął sztukę dziedzictwem. Bogactwami, które płynęły do Gaju w tym jednym pochodzie możnaby ozdobić i wyposażyć obficie całe dziesiątki świątyń i zdawało się, że miejsca tam już nie stanie na ów tłum posągów i na ludzkie tłumy nieprzejrzane, co bez końca nadciągały w ślad za olbrzymią theoryą. Zamykały ją stada bydląt, prowadzonych pod nóż ofiarniczy.

Rozwijała się ta procesya niezmierna ku wschodowi, łąkami, wzdłuż krętego brzegu Alfejosa. Słońce złotowłose w koronie blasków i świateł właśnie wstąpiło na tron purpurowych obłoków i strzelistymi promieniami drasnęło

wschodni szczyt wielkiej świątyni, gdy stubarwny orszak, zawróciwszy ku północy, przechodził poprzed Radnicą, tuż obok spiżowego Zeusa z wieńcem pozłocistych kwiatów na skroniach i piorunem w podniesionej prawicy. Czoło pochodu wkraczało już w tryumfalną bramę od południowej strony Gaju świętego i zmierzało w aleję, co szła ku głównej świątnicy wpośród istnego lasu posągów.

Pejsidoros, który postępował w gronie atletów, na progu bramy spostrzegł w ciżbie matkę. Odziana męskim chitonem, co sięgał jej poniżej kolan, owinięta chlamydą, z gołą głową, siwiejącą na skroniach, wcale nie wyglądała na niewiastę i niczem nie wyróżniała się w otaczającym tłumie; pomimo to serce ścisnęło mu się obawą. Nieznacznie uśmiechnęła się do przechodzącego syna. Odpowiedział jej przeciągłem spojrzeniem, nie odwracając się i nie przystępując, by nie zwrócić na nią niczyjej uwagi.

Tymczasem Hellanodikowie przed świątynią podnieśli orle swe berła; na ten znak zagrały wraz, fletnie i salpingi, kythary i piszczałki a pieśń ich podjęły nagle tysiące i tysiące ludzkich piersi. Olbrzymi, prastary hymn przypisywany ślepemu piewcy Iliady i Odyssei wstrząsnął powietrzem i popłynął w poranne różowe niebiosa:

Zeusa opowiem, co większy, możniejszy nad wszytkie niebiany
W dal rozgrzmiewa piorunem, w potęgę, w moc twórczą odziany
I rozmawia gromami z siedzącą wzdy przy nim Themidą —
Bądź miłościw piorunny, przesławny, wszechwładny Kronido!...

Kapłani w białych szatach czekali pod kolumnadą świątyni. Teraz jęli powoli schodzić ze stopni; jedni błyszczące topory nieśli na ramieniu, drudzy dzierżyli w garści długie noże ofiarnicze, inni szli z gorejącemi pochodniami,



które zażegli byli od płomienia lamp jarzących się w świątnicy. Wszyscy stanęli na czele pochodu, który krok za krokiem posuwał się do wnętrza Gaju, kędy na wysokość czterech mężów dźwigał się ogromny ołtarz Zeusa. Był to podługowaty pagórek uczyniony z kości zwęglonych i popiołów nagromadzonych wiekami. Założył go był niegdyś pono jeszcze Herakles Idajski. Z dwóch części składał się ołtarz: na dolne, płaskie, obszerne wzniesienie wiodły od wschodu i zachodu pochyłe, szerokie wnijścia; w środku stał wysoki kopiec na którego ścięty szczyt prowadziły z dwóch stron ścieżki wijące się w ślimacznicę. Tam, na samym wierzchu słudzy świątyni w potężny stos ułożyli bierwiona białodrzewia. W Olympii używano bowiem do ofiar wyłącznie tego drzewa na pamiątkę, iż pierwszy tutaj miał je zasadzić Herakles, przyniósszy różdżkę białej topoli z krainy Kimeryjskiej nad brzegiem Acherontu.

Procesya obeszła ołtarz wokoło i u stóp jego kręgiem się ustawiła. Nieprzeliczone rzesze, głowa przy głowie, zapełniały całą Altis; ludzie stali gęsto na wysokich podmu-

rowaniach świątyń poblizkich, pod kolumnadami; cisnęli się na terasie pod stokiem Kronosowej góry, powspinali się na dachy skarbców, na podnóża posągów, na drzewa, na mury otaczające Gaj święty.

Pierwsi na dolne podwyższenie wstąpili kapłani, za nimi szli fletniści, którzy wedle odwiecznego zwyczaju przygrywać mieli przy ofiarnym obrzędzie. Ich śladem czterech młodzieńców niosło wielki, pozłocisty kocioł, pełen świeżej wody, a czterech innych dźwigało wspaniały trójnóg spiżowy do ustawienia kotła. Wpędzono wkońcu na dolne podwyższenie dziesiątki całe byków o jasnej maści, gdyż ciemne wolno było składać w ofierze tylko podziemnym bogom. Zwierzęta miały rogi pozłacane i szły obwieszone girlandami kwiecia.

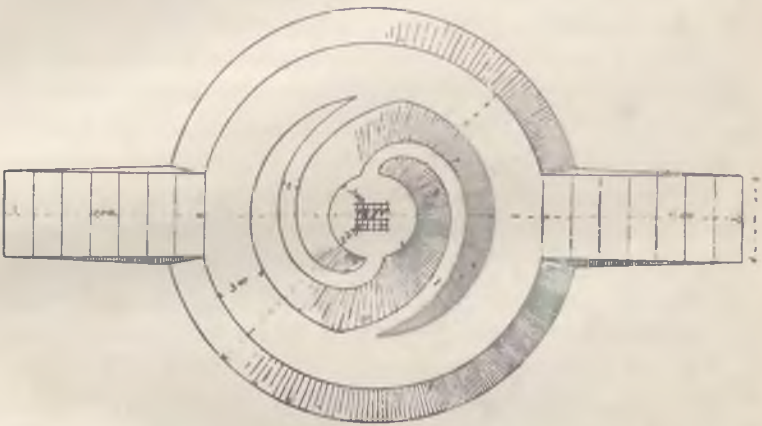
Hymn do Zeusa przebrzmiał, uroczysta cisza zaległa Gaj, tłumy patrzały w milczącem skupieniu. Jeden z kapłanów zanurzył płonącą pochodnię w kotle. Z trzaskiem i sykiem zgasła, poświęcając w ten sposób wodę. Młodzieńcy wysmukłymi lekythami czerpali ją z kotła i polewali kapłanom i sobie ręce, poczem kapłani kropili rzesze w cztery strony świata.

Po tym oczyszczalnym obrzędzie, młodzi pomocnicy przytrzymali rogi buhajom, a kapłani obwiązali bydlętom głowy białemi opaskami, których długie końce zwisały ku ziemi. Niektóre byki jęły się przytem rzucać gniewnie, a jeden, jakgdyby wiedział co go czeka, jął miotać się i wspinać z taką gwałtownością, że go przemocą ledwie przytrzymano.

Tymczasem kłęby dymu wionęły ze stosu na płaskim szczycie ołtarza; płomienie zaczęły lizać spodnią warstwę topolowych tramów. Krzątali się tam w górze słudzy świą-

tyni, którzy miechami podsycali buchające zarzewie. Na dolnej płaszczyźnie, przy dźwięku przenikliwych fletni, kapłani równocześnie sypali bykom na czoła jęczmień przypalany ze solą i nożami ofiarnymi zrzynali każdemu kępkę sierści z pomiędzy rogów. Jeden zebrał wszystkie te włosy obcięte i wyszedszy na górę, cisnął je w płomień.

Fletniści grali ciągle. Wtem nad głowami ofiar nakształt błyskawic mignęły topory, krew trysnęła, ostrza



ugrzęzły głęboko w grubych karkach, a ryk przeraźliwy rozdarł powietrze i ucichł. Broczące olbrzymie cielska przysiadły na zadnich nogach, jakby rażone piorunem. Gdzieniegdzie jeno zwierz potężniejszy, czy mniej trafnym ciosem uderzony, zdołał się jeszcze porwać i wspiąć w górę na jedno mgnienie oka i runął całym ciężarem na dół. Do bydląt wstrząsanych śmiertelnemi drgawkami przyskoczyli młodzieńcy, ze wszech sił za rogi je cisnąc, łby im ku tyłowi zadarli, a w tejże chwili jedni z kapłanów gardła pod-

rzynali buhajom nożami, drudzy podstawiwszy głębokie misy gliniane, czarną posokę zbierali w nie na obiatę Rodzicowi bogów i ludzi.

Wszystko to krócej trwało, niż da się opowiedzieć słowami. Zaczęto niebawem ofiary odzierać ze skóry i ćwiartować. Porozkrawane kawały na szczyt ołtarza niesiono i na stos rzucano. Kapłani polewali je krwią i skrapiali winem niemieszanem z wodą, a młodzieńcy obracali je długimi trójzębami i przypiekali na ogniu. Bury dym niebotycznym słupem wzbijał się w słoneczne błękity.

Część mięsiwa zabierali dla siebie kapłani i ofiarnicy, inne części rozdzielali między tłumy, roznosząc je wetknięte na trójzęby, z których ociekała przyskwierzona tłustość; reszta płonęła na popiół.

Ale na dolnem podwyższeniu rzeź nie ustawała; wganiano tam coraz to nowe stada, które taksamo padały pod cięciami toporów. Posoka bluzgała strumieniami, a na szczycie ołtarza, podsycany wciąż nowymi drwami, stos kurzył się ustawicznie, fletnie zawodziły pieśń uroczystą, a tłum patrzał i modlił się w milczeniu.

Słońce wysoko już wyszło, zanim ofiary dobiegły końca. I znowu z tysiącznych piersi zagrzmiało wielkie, chóralne pienie, a pochód ruszył dalej. Obchodził on całą Altis wokoło, lecz malał stopniowo, gdyż oddzielały się odeń kolejno jeden po drugim wozy z posągami, zatrzymując się przed pustymi cokoły, które przysposobiono pod marmurowe i spiżowe postaci. Na ostatku, kiedy procesya okrążyła cały niemal Gaj święty i wschodnio-południową jego stroną zmierzała z powrotem ku głównemu wyjściu, odłączyło się od niej trzynaście owych zaprzęgów, co wiozły dzieła Lykiosa, wspaniały dar Apolloniatów. Stała tam

właśnie przed Hippodamejonem długa, półkolista podstawa przeznaczona dla wszystkich razem trzynastu posągów, których ustawianie potrwać miało do samego wieczora.

Pejsidoros przez cały czas myślał jedynie o matce. Gdy składano niezliczone ofiary, błagał w duchu Zeusa o zmiłowanie nad nią i nad sobą. Teraz trwożnie rozglądał się dokoła, czy jej gdzie nie zobaczy, ale napróżno błąkał się wzrok jego po twarzach ludzkiego rojowiska: nie było jej tam wcale. Niespokojny o nią musiał więc iść dalej w orszaku, w ślad za Hellanodikami, którzy po wyjściu z Altis wkroczyli do Buleuterionu.

Gmach ten rozległy stał na południe od Gaju. Środkowa jego część zbudowana w kwadrat łączyła dwa boczne skrzydła podłużne, wązkie, zakończone półkolisto. Były w nich mieszkania Hellanodików czasu igrzysk i składy cennych przyborów, co służyły przy uroczystych obrzędach. W obszernej środkowej sali znaleźli się teraz wszyscy współzawodnicy wraz z Hellanodikami. W głębi, naprost wnijścia czernił się na tle białej ściany bronzowy posąg Zeusa Przysiężnego.

Timoptolis, najstarszy z Hellanodików, powoli wystąpił na środek. Był to mąż pochylony wiekiem, z długą, siwą brodą. Zaraz uczyniła się wielka cisza, on zasię na berle wsparty jął mówić dobitnym, acz starością przytłumionym głosem:

— Wedle prastarego zwyczaju naddziadów naszych przywiedliśmy was tutaj, o mężowie helleńscy, którzy się o przesławny wian oliwny ubiegacie, — iżbyście się w obliczu Zeusa Horkiosa przysięgą straszliwą zaklęli, jako do wszelkich igrzysk prawem sercem, czystą myślą stajecie gwoli wiecznej chwale Kronidy olympijskiego i poczciwej

sławie swej własnej. Przysiążcie, że was ani żądza szpetnego zysku nie omami, ani podły frymark skrycie nie uwiedzie. Przysiążcie, że prawom i ustawom przodków naszych posłuszni, pomiędzy sobą nijaką tajemną umową nie będziecie się wiązali, ani jedni przeciw drugim chytrością, podstępem, zdradą zwycięstwa się dobijać nie zamyślacie, jeno walką rzetelną i sprawiedliwą. Przysiążcie, iż rozkazom, postanowieniom, wyrokom Sędziów Helleńskich ulegli, poddajecie się we wszystkiem pod ich sąd i władzę.

— Przysiążcie! — zawołali społem Hellanodikowie, wyciągając dłonie ku posągowi Horkiosa. Straszne było to spiżowe oblicze, co z góry pozierało w milczącej, ponurej grozie.

— Przysięgamy! — zagrzmiało naraz mnóstwo głosów, a równocześnie kilkaset mocarnych prawic wyciągnęło się ku przerażającej postaci bóstwa. Z dorosłymi składali przysięgę także i chłopcy nieletni, którzy jutro mieli stawać o lepsze w stadionie.

— Ktoby tę przysięgę złamał — mówił Timoptolis — niechaj pokoju nie zazna we dnie, ani w nocy, w domu, ni na obczyźnie i przeklęty niech będzie na cały żywot. Niechaj za nim idzie krok w krok nieszczęście i okropny gniew bogów, a pomsta Zeusa, chmur piorunowych władcy, niechaj spadnie na głowę jego za to krzywoklеństwo!

Na tem skończył się uroczysty obrzęd. Hellanodikowie odeszli w milczeniu i współzawodnicy do wieńców oliwnych tłumnie wyszli przed Radnicę.

Pejsidoros o matkę zaniepokojony zwrócił się nad brzeg Alfejosa do jej namiotu. Z trudem torował sobie drogę w gęstej ciżbie, a w duszy zadawał sobie ciągle to jedno pytanie, czemu już dziś oblekła się w męskie szaty?

Wszak umówili się wczoraj, że będzie czekała, aż on wystąpi w stadionie. Widział ją na progu Altis — czy gnana ciekawością nie weszła z pochodem do Gaju, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo!

Nie zastał jej w namiocie, zawrócił tedy w nadziei, że może natknie się na nią gdzie w tłumie. Tak doszedł znowu do bramy Altis, gdzie mijały się z sobą dwa strumienie ludzkie: jeden płynął do wnętrza, drugi z Gaju wylewał się na równinę. Przystanął i patrzał. Lecz niebawem zrozumiał, że choćby matka nawet i była w mnóstwie tem nieprzejrzanem, to mogłaby stokroć przejść obok niego niepostrzeżona. Zaniechał tedy poszukiwań i wszedł do Altis. Opodal, na prawo od bramy, przed Hippodamejonem wśród gromady widzów, Lykios Myronów nadzorował ustawianie i przytwierdzanie swoich trzynastu posągów. Uczniowie i czeladź wypełniali rozkazy mistrza. W pośrodku półkolistego cokołu stał już wspaniały Zeus; do kolan jego chyliły się błagalnym ruchem dwie niewieście postaci: to Thetis i Eos, matki dwóch bohaterów, co za chwilę stoczą ze sobą walkę na śmierć i życie. Za Thetidą stał jej syn Achilles, włócznię gotową do rzutu dzierżąc w prawicy, po przeciwnej stronie Memnon, syn Jutrzenki, wyciągał z pochew krótki miecz. A dalej widać było poza Memnonem innych wojowników trojańskich, mądrego Helenosa, Parisa, Ajnejasa, Deifeba. Obok Achilla stało równie czterech bohaterów achajskich: więc Odys, Menelaj, Diomedes — Ajasa, ostatniego w tym szeregu właśnie do kamiennej podstawy przytwierdzano za pomocą spiżowych trzpieniów, które wpuszczono w kamienny cokół i zalewano płynnym ołowiem i siarką. Tu nawet, gdzie od dwóch stuleci najsłynniejsi artyści greccy nagromadzili cztery tysiące posągów,

dzieło to Myronowego syna wyglądało wspaniale. W tej chwili oblewały je blaski zachodzącego słońca, w których wszystkie te postacie wydawały się jakoby żywe: Pejsidorowi zdało się, że boginie obie lada chwila padną z jękiem do stóp Kronidy, a wojownicy uderzą na się z całą zaciekłością.

Wśród widzów, przypatrujących się ustawianiu posągów, zauważył Pejsidoros dwóch ludzi, którzy wysunęli się przed innych i stali tuż obok Lykiosa. Mistrz niekiedy zwracał się sam do nich spojrzeniem lub słowem; widno, że znał obu. Dziwna to była para. Starszy mąż, krępy i zwalisty, mógł liczyć z górą lat czterdzieści, a wyróżniał się osobliwą, uderzającą brzydotą; na krótkim a grubym karku dźwigał ogromną łysiejącą głowę, której potężne, sklepiste czoło wypukliło się nad brwiami w obwisły wał, rozłupany głęboką pionową zmarszczką. Z pod tego czoła ciekawie i bystro patrzyły na świat wielkie, wyłupiaste oczy; gruby, niekształtny nos, odęte wargi, gęsty, zaniedbany zarost, wszystko nadawało tej twarzy dziwne podobieństwo do komicznej maski. A jednak oblicze to, mimo niebywałej szpetoty, miało w sobie przedziwny majestat. Czułeś, że nawał genialnych myśli powyginał i naprzód wysadził to czoło, że z tych obrzękłych ust padają często słowa, jakich dotąd ludzkość nie słyszała. Jak ten niemłody mąż potworną brzydotą zdumiewał, tak jego towarzysz zachwycał urodą. Ledwie zachodził w lata męskie, dwudziestoletni, rosły i kształtny, wyglądał raczej na młodego boga, niż na śmiertelnego syna ziemi. Rzeźbiąc Hermesa czy Apollona, żaden artysta wymarzyć nie mógł powabniejszej postawy, ni cudniejszych rysów. Młodzieńczy puch ozłacał mu białe, niewieście policzki, dumne czoło wieńczyły jasne, miękkie

włosy, obyczajem palajstry niedługo przystrzyżone, w oczach jarzyła się zuchwała, bujna, gwałtowna młodość, a dolna warga, pełniejsza nieco i pożądliwie naprzód wysunięta, układała się niby do lubieżnego pocałunku.



— Skoro rzeźbiarską sztukę tak cenisz — synu Sofroniska, przecz jej zaniechałeś? — mówił Lykios do starszego męża.

— Co czynię, chcę czynić dobrze, — odparł tamten.

— A twoje Charyty w Propylajach u wstępu na Grójec atheński — odezwał się sepleniąc zlekka ów urodziwy młodzieniec — nie dobrze-li są wyrzeźbione?

— Ale teraz piękniejsze dzieła tworzę i lepsze nawet, niźli twoje rzeźby, Lykiosie.

— Jakież to dzieła? — zapytał mistrz.

Tamten zamiast odpowiedzi rzucił pytanie:

— Czy ty, Lykiosie, na żywe pierwowzory zapatrujesz się, gdy lepisz z gliny swoje posągi?

— Oczywista.

— Skoro tedy przeróżne ruchy nasze od góry aż do dołu grają w muskułach ciała, tak iż te kurczą się, rozprężają, napinają i zwalniają, tedy zapewne wyrażasz tę grę mięśni, a przez to dziełom swoim nadajesz podobieństwo do prawdy?

— W samej rzeczy.

— Ten wyraz działania cielesnego czyliż widzom nie sprawia rozkoszy?

— Tak myślę.

— Trzeba zatem, aby spojrzenie wojowników miało wyraz groźny, a radość by się odbijała na twarzach zwycięzców. Nieprawdaż?

— Bez wątpienia.

— Rzeźbiarz musi przeto wyrażać kształtami wszelkie wrażenia duszy.

— O to staram się usilnie.

— Dobrze czynisz. Lecz ja także, choć już nie kuję marmuru, ani spiżu nie odlewam, rzeźbiarzem jednak być nie przestałem.

— Jakto? Rzeźbiarzem być nie przestałeś, Sokratesie! — zawołał piękny jego towarzysz.

— Nie inaczej, Alkibiadzie. Zali nie staram się wyrzeźbić duszy twojej i dusz innych młodzieńców, iżby się stały arcydziełami Dobra i Piękna?

Szarzało już, więc Pejsidoros przymknął się nieco, pragnąc przypatrzeć się bliżej onemu »rzeźbiarzowi dusz ludzkich«. Ów zaś odwrócił nań wtedy bystre, przenikliwe oczy. Pejsidoros poczuł, że ten wzrok przemożny przeszywa go na wskróś i przyniewala. Zmieszany, chciał się cofnąć, gdy tamten przystąpił ku niemu i rękę wyciągnął życzliwie.

— Widzę, że kształtne masz ciało, rosłe i wyćwiczone. Czem dla ciała nauka gimnastyki, tem dla ducha nauka mądrości. Kształciłżeś ty i duszę swoją zarówno z ciałem?

— Nie wiem, jak odpowiedzieć na twoje pytanie — odrzekł Pejsidoros — bo jeśli powiem, iżem w mądrości wyćwiczon, zda się to samochwalbą, a jeśli odrzekę, iż nie, podam się za nieokrzesanego prostaka.

— Podoba mi się ta odpowiedź. Skąd jesteś i jak ci na imię?

— Zowią mnie Pejsidoros, a z Rhodos wyspy pochodzę, z domu Diagorasa.

— Nigdy z Athen jako żywo nie wyruszałem się nogą. Tym razem on wyciągnął mnie do Olympii, ten oto Alkibiades Klejniasów. Ale nie żal mi będzie odbytej drogi, jeśli ty, Pejsidorze, cokolwiek na rozmowie ze mną skorzystasz. Pójdźmy tedy społem, bo niebawem już Gaj święty zamykać będą na noc.



III.

Nazajutrz od samego świtu lud zalał falą nieprzebraną wszystkie ławy stadionu. Rozpoczęły się bowiem już od wschodu słońca popisy pacholąt w biegach, zapasach i walce na pięści. Pejsidoros nie był wcale w stadionie; wczesnym rankiem zaraz pobiegł do matki. Uspokoiła go wrychle: nogą wczoraj nie stąpiła do Altis, a gdy ją zapytał, dlaczego strój męski przywdziała była, odrzekła mu z największą prostotą, iż pragnęła się obyć z szatami i ruchami męskimi, a zarazem upewnić się, iż jej nikt istotnie poznać nie może. Ocierała się z umysłu kilkakroć o znajomych ziomków z wyspy Rhodos, ale wszyscy na nią jak na kogoś obcego patrzyli. Tem zupełnie już przekonała syna, że zuchwały jej zamiar da się przeprowadzić bezpiecznie. Nad tem, jakby go wykonać najsnadniej, naradzali się długo jeszcze. Pejsidoros wyjaśnił jej dokładnie wszelkie zwyczaje palajstry i nauczył ją dobrze, jak sobie ma postępować.

Kiedy nakoniec wyszedł od niej pełen otuchy, było już dobrze z południa. Chłopięce popisy widno się już ukończyły, gdyż ponad Gajem słychać było gwar tysią-

cznych głosów: to tłumy wrzały po wyjściu ze stadionu. Wielu z Gaju świętego wyszedszy, spieszyło do kramów z jadłem, by się nieco posilić. Pomiędzy Radnicą a główną bramą Altis przekupnie roznosili owoce i przekąski w koszach dźwiganych na głowie i obwoływaniem swego towaru powiększali jeszcze huczącą wrzawę. Sokrates i Alkibiades, nierozłączni jak zwykle, stali właśnie przed bramą, chłodząc pragnienie świeżemi figami. Był z nimi trzeci mąż jakowyś, od Sokratesa starszy widocznie o cały lat dziesiątek. Niepozorny z postawy, mimo to zwracał na się uwagę osobliwem swojem wejrzeniem: twarz chuda, o wydatnych kościach policzkowych, wyraz nosiła zbolały, prawie żałosny, przy którym uderzały dziwnie oczy badawcze, ostre, nieubłagane. Proste, siwiejące włosy w rzadkich kosmykach opadały ku szerokiemu czołu, przylegały do skroni jakby przylepione i zasłaniając uszy, łączyły się z krótko przystrzyżoną brodą. Nos długi, cienki, wyraziście zarysowany, schodził za blizko nieco ku wązkim, zaciśniętym ustom z piętnem goryczy i smutku. Widno było, że tych warg nie krasi nigdy wesoły uśmiech.



— Czekaj, młody Rhodyjczyku — zawołał Sokrates w odpowiedzi na powitanie Pejsidora. — Nie tak spieszno! Pójdziemy razem do Altis.

Widząc, że Pejsidoros przystępuje ku niemu, dodał:

— Chętnie zwykłem przestawać z młodymi, którzy w rozmowach ze mną ćwiczą się w cnocie a poczciwości.

— Rad przysłucham się i dziś twoim słowom, Sokratesie — odrzekł Pejsidoros przyłączając się do nich. Szli tedy razem do Gaju świętego. Po drodze młodzieniec pytał cicho Alkibiadesa, ktoby był ów czwarty mąż nieznajomy?

— To Euripides Mnesarchów, Salamińczyk.

— Ów, co słynie z pisania tragedyi znamienitych?

— Ten-ci jest.

— I u nas na Rhodos głośne jest jego imię. Ale powiedz mi, przecz on taki ponury? Czy mu się dzisiaj co złego przygodziło?

— Zawżdy on taki sam, zgorzkniały, zamknięty w sobie, ludzi nie cierpi, a najchętniej z księgami swemi przestaje, których ma pełen dom.

Równocześnie poeta narzekał przed Sokratesem na znużenie, mówił, że utrudziła go droga z Athen odbyta w dni upalne, żałował nawet, że wybrał się do Olympii.

— Czy niosłeś może co ciężkiego? — zapytał mędrzec.

— Nie, na Zeusa! Miałem tylko płaszcz.

— Szedłeś-li sam, czy ze sługą?

— Miałem ze sobą sługę.

— A czy on szedł z próżnemi rękoma, czy co niósł?

— Jużci; niósł mój tobołek wraz z inszemi rzeczami mojemi.

— A jakże on wytrzymał tę drogę?

— Zdaje mi się, iż lepiej odemnie.

— A gdyby tak tobie przypadło dźwigać manatki tego niewolnika? Cobyś powiedział?

— Zaiste, na Zeusa, nie byłbym temu podołał.

— Więc tobie godnem zda się męża wolnego i ćwiczonego w gimnastyce od młodu, znosić trudy gorzej, niźli prosty niewolnik?!

Euripides nie miał nic do odpowiedzenia; zżymnął jeno gniewnie ramionami, kwaśno pojrzawszy na przyjaciela. Młodzieńcy obaj udali, że nie słyszą tej rozmowy, Alkibiades ozwał się zaś po cichu do Pejsidora:

— Dziwny to i straszny człowiek ten Sokrates: omota cię pytaniami jak pająk muchę i wyciśnie z ciebie takie odpowiedzi, jakich sam najmniej się spodziewałeś i pragnąłeś. Niedawno zaszedł mnie w domu, gdy ćwiczyłem niewolnika w słusznym gniewie. — Za cóż go bijesz? — zapytał mnie spokojnie. — Bo leniwy jest i rozwiązły — odrzekłem. On zaś na to: Zastanowiłżeś ty się nad tem, który z was dwóch bardziej zasłużył na bicie, ty, czy twój niewolnik?... Czasami, gdy z nim jestem, ogarnia mnie taka złość przeciwko niemu, żebym go zabił, a gdyby mi go brakło, zabiłbym sam siebie...

Tak rozmawiając weszli do Gaju w ślad za tamtymi dwoma. Tłumy przechadzały się tam, rozprawiając żywo i namiętnie o świeżo skończonych igrzyskach pacholąt, albo podziwiały budowle i posągi. Wielu przyzierało się wielkiej świątyni Zeusa, którą budownik Libon z Elidy przed trzydziestu laty wykończył był ostatecznie. Lecz największy ścisk był w jej wnętrzu: wszyscy tłoczyli się, by wzrok nasycić przedziwną pięknością Fejdiasowego Zeusa; mistrz pracował nad nim przez ostatni dziesiątek lat swego

żywota, te zasię igrzyska były dopiero drugiemi z rzędu od chwili, gdy gotowe arcydzieło stanęło w całym blasku i przepychu. Kto je widział był za poprzedniej olympiady, tem skwapliwiej pragnął je oglądnąć po raz wtóry. Cała Hellada rozbrzmiewała uwielbieniami tego cudu rzeźbiarskiej sztuki.

Czterej mężowie z trudem przebijali się poprzez ciżbę, gdy nagle pod kolumnadą świątyni ozwały się salpingi. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę, a rzesze z najdalszych krańców Altis jęły napływać ku świątnicy.

— Któryś poeta będzie wygłaszał wiersze swoje przy wtórze kythary — rzekł Alkibiades. — Pójdźmy posłuchać.

— Ciekaw jestem, który to z onych wierszorobów? — mówił zgryźliwie Euripides.

Sokrates dorzucił:

— Wymysłami swoimi częstokroć oni mącą prawdę: ich baśni przysłoniły istotę bóstwa. Posłuchajmy wszelako, bo kto kocha mądrość, ten ziarno jej zdoła wyłuskwić, choćby z najgrubszej skorupy.

— Wiodą go już Hellanodikowie! — zawołał Pejsidoros. — Patrzcie!

Jakoż wzdłuż świątyni od północnej strony pod kolumnadą postępował za Hellanodikami starzec przeszło sześćdziesięcioletni, wysoki, szczupły, o łagodnej, zadumanej twarzy. Wielkie, łysiejące czoło królowało nad ściągłem obliczem, które przedłużała jeszcze siwa, bujna broda, w klin przycięta. Kroczył przygarbiony nieco, w ręku dzierżąc gęsto zapisany zwój, nawinięty na wałek. Dziwili się wszyscy, że nie miał kythary.

— Kto to zacz być może? — ozwał się Alkibiades. — Nie Atheńczyk-to zaiste, bo znałbym go pewnie.

— Męża tego gdzieś już widywałem przed laty — rzekł Sokrates.

— Wszakci to Herodotos z Halikarnassu, dziejopis, który opowieści o czasach zeszłych pierwszy jął zbierać po świecie — mówił Euripides, przyjrzawszy się bystro starcowi. — Pono niegdyś jeszcze, Sokratesie, przybywszy do Athen, wywiadywał się u starego Ajschylosa o szczegóły bitwy Marathońskiej.



— Ten-ci jest! Ten-ci jest! — zawołał Sokrates. — Widno dzieje zamierza czytać. Pójdźmy prędzej...

To rzekszy, drogę sobie zaczął torować przez tłum, a za nim postępowali tamci. Sędziowie Helleńscy doszli tymczasem ze starcem do zachodniego węgła świątyni, kędy pod kolumnadą były już dla nich ustawione ławy, piękną tkanicą przykryte. Uderzyli berłami, nakazując tłumom ciszę, a woźny wystąpiwszy, zapowiedział ludowi:

— Herodotos, rodem z Halikarnassu, syn Lyxasa, czytać wam chce, mężowie helleńscy z Polyhymnii, VII księgi swego dzieła, opowieść o tem, jako Leonidas czoło stawił Xerxesowi królowi w Thermopylach. Tedy słuchajcie!

Hellanodikowie usiedli, a mąż siwobrody zajął miejsce na krześle naprzód wysuniętem pomiędzy kolumnami Zeusowej świątnicy. Tuż obok rosło stare drzewo dzikiej oliwy, z której tną gałęzie na wieńce olimpijskie, a nazwano ją »oliwą pięknych wieńców«. Rzucała ona teraz cień na głowę i ramiona Herodota, chroniąc go przed blaskiem słońca, które już na zachodnią stronę nieba przeszło było.

Leciwym, ale donośnym głosem, czytał on powoli o tem, jako Spartanie i przymierzeńcy onych w thermopylskim wąwozie zamknęli przejście nawale perskiej, co lądem ciągnęła z północy na Grecyę. Wyliczał imiona ludów azyatyckich i wodzów barbarzyńskich, wymieniał szczepy helleńskie, co w Thermopylach stanęły pod wodzą Leonidasa.

Słuchano go z piersią zapartą. Wprawdzie znane to były dzieje, wszelako nikt przed nim nie pokusił się o ich spisanie: historya nowością była niesłychaną dotąd.

— Xerxes wysłał jednego jeźdźca — czytał Herodotos — iżby się wywiedział o liczbie onych i podpatrzył, czemby zajęci byli. Doszły bowiem króla słuchy, gdy jeszcze był w Thessaliej, że garść wojenników pod wodzą Leonidy, potomka Heraklesowego, w onym przesmyku stoi. Jeździec, przybliżywszy się ku wojskom, opatrzył je dokładnie, wszelako nie mógł widzieć tych oddziałów, co były za murem, ninie wzniesionym na nowo. Widział jeno te, które przed murem obozowały. Lakedejmonowie dzierżyli owo stanowisko. Jedni bawili się podtenczas gimnastycznemi ćwiczeniami, drudzy trefili sobie włosy. Widok ów zdumiał go wielce. Powziął wiadomość o ich liczbie i powrócił bezpiecznie, wszystko wybadawszy. Za przyjazdem opowiedział Xerxesowi, co był widział.

Przez cztery dni czekał król, nadziewając się, iż Hellenowie tyły podadzą; piątego, gdy się do ucieczki nie kwapili i gdy mu się zdało, iż trwają na miejscu jedynie bezczelnością i zuchwalstwem, rozjadł się gniewem i wyprawił na nich pułk Medów i Kissyjczyków, z rozkazaniem, by onych pojmali w niewolę a jemu przystawili. Medowie z rozmachem wpadli na Hellenów, lecz znaczna ich mnogość poległa. Jasno tedy obaczyli wszyscy, i król sam, iż siła ma ludzi, ale nie wielu walecznych. Ta bitwa dzień cały trwała.

Widząc Medowie, iż tęgo ich rażą, ustąpili. Na miejsce onych poszli Persowie. Był to huf, który król nazywał »nieśmiertelnym«, pod dowództwem Hydarnesa. Runęli na wroga, jakoby po zwycięstwo pewne i łacne; skoro jednak przyszło do rozprawy, nie więcej wskórali od Medów, bo włócznie mieli krótsze niż Hellenowie, że zasię walka toczyła się w węzinie, przeto nie mogli górować liczby swej przewagą. Lakedejmonowie tak walczyli, że godzi się podać to potomności, przyczem okazali, jako są ćwiczeni, a wrogowie ich nieświadomi zgoła sztuki wojennej. Ilekroć przyszło się im cofnąć, zachowywali szyk sprawiony; barbarzyńcy widząc, iż ustępują, ścigali onych z krzykaniem i okrutną wrzawą, lecz gdy już mieli wsiąść im na karki, Lakedejmonowie odwracali się i wielką ich mnogość kładli trupem. Sami też niejakie straty ponieśli. Nakoniec ujrzawszy, że sobie natarciami całą kupą, czy w innym sposobie, drogi nie otworzą, cofnęli się Persowie.

Powiadają, iż król, który przyglądał się bitwie, z obawy o swoje wojsko po trzykroć zeskoczył z tronu. Taki był skutek owej wyprawy. I nazajutrz nie lepiej wiodło się barbarzyńcom. Dufali, że Hellenowie nie będą mogli ręki

podnieść, jako iż byli w małej sile i ranami okryci — jak mniemali. Wszelako Hellenowie stanęli w sprawie bojowej narodami a hufcami. Walczyli zasię kolejno, krom jednych Fokijczyków, których na górze postawiono gwoli strzeżenia ścieżki. Persowie przekonawszy się, że biją ich tak, jak i dnia poprzedniego, ponownie ustąpili.

Król srodze był temi okolicznościami frasowny, gdy Efialtes, Melijczyk rodem, syn Euridemów, przyszedł doń w nadziei uzyskania jakowej znacznej nagrody. Zdrajca odkrył mu ścieżkę, która górą prowadzi przez Thermopyle, i tak stał się przyczyńcą ostatniej zagłady Hellenów, broniących przejścia. Potem schronił się do Thessaliej przed zemstą Lakedejmonów, której się lękał; wszakże mimo jego ucieczki, pylagorowie na zebraniu powszechnem amfiktyonów w Pylach na głowę jego nałożyli cenę, a później, kiedy przybył do Antikyros, ubił go niejaki Trachińczyk, imieniem Athenades. A chocia go zamordował z innego powodu, niemniej otrzymał od Lakedejmonów nagrodę przyrzeczoną. Tak zginął Efialtes w niejaki czas po wyprawie barbarzyńców.

Zapowiedź Efialtesa królowi spodobała się wielce i napełniła go radością. Zaraz wyprawił Hydarnesa z oddziałami jego, by ten zamiar wykonał. Persowie, przebrodziwszy Asopos poniżej ścieżki, o której namieniłem, szli całą noc, po prawicy mając góry Ojtajskie, po lewicy Trachijskie. Byli już na szczycie, kiedy zorza jęła świtać. Stał w miejscu onem tysiąc Fokijczyków ciężko zbrojnych, by drogi bronili przed najściem barbarzyńców i pilnowali ścieżki, bo dolne przejście dobrze było strzeżone zastępami, o których mówiłem.

Persowie szli niepostrzeżeni, bo dęby, którymi poro-

śniona jest góra, zasłaniały widok. Ale że czas był pogodny, przeto Fokijcy odkryli onych po szeleście, który czynią pod stopami liście opadłe. Wzdy pobieżawszy zbroicami się oblekali, a tejże chwili ukazali się im barbarzyńcy. Fokijcy, gradem strzał zasypani, uciekali grzbietem góry, w mniemaniu zaś, jakoby ten hufiec przyszedł był z umysłu na nich uderzyć, sposobili się, by go przyjąć, jako mężowie oddani śmierci. Takie było postanowienie Fokijczyków. Ale Hydarnes i Persowie pod przewództwem Efialtesa, znagła zbiegli z góry, na nich cale nie bacząc.

Wieszczek Megistias, wnętrzności ofiar zbadawszy, zapowiedział pierwszy Hellenom, którzy bronili wąwozu Thermopylskiego, iż mają zginąć na drugi dzień o wschodzie zorzy. Potem zbiegowie ostrzegli onych, że ich osaczają Persowie i sami też onę wiadomość rozpowiedzieli po całym obozie, aczkolwiek noc jeszcze była. Nareszcie zaświtał dzień, a wywiadowcy przybieżeli ze szczytów. Na radzie, odprawowanej wówczas, podzielone były zdania: jedni chcieli ostać na stanowisku, drudzy byli przeciwnej myśli. Rozeszła się rada. Jedni odszedszy, rozproszyli się po swoich miastach, inni sposobili się zostać z Leonidasem.

Przymierzeńcy, których rozpuścił Leonidas, odeszli posłusznie. Thebanie i Thespijczykowie ostali z Leonidą: pierwsi po niewoli, bo Leonidas jako zakładników onych zatrzymał, drudzy po swej myśli. Oświadczyli się, iż nie poniechają za nic Leonidasa i Spartan i zginęli przy ich boku. Dowodził nimi Demofilos Diadromów.

Xerxes objaty złożył o wschodzie słońca, przeczekawszy zasię czas niejaki, ruszył naprzód o tej porze, gdy rynek zwykle napełnion jest ludźmi, jako mu to zalecił Efialtes.

Leonidas i Hellenowie, idąc jako na śmierć pewną, wysunęli się znacznie dalej niż kiedykolwiek wprzódy, aż do miejsca najszerszego w wąwozie. Bój zawrzał w tym dniu na rozleglejszej przestrzeni, to też wielka mnogość barbarzyńców padła. Ich starszyzna pozad szeregom stanąwszy z biczami w ręku, siekła żołdaków i naganiała wciąż do pochodu. Wielu ich wpadało do morza, kędy najdowali koniec żywotowi swemu, wiele więcej ginęło pod nogami własnych zastępów, nikt wszelako nie miał na to baczenia. Hellenowie, pewni śmierci, wytężyli wszystkie siły przeciwko barbarzyńcom, jako rozpaczeńcy, co życie mają sobie za nic. Już ich część przeważna włócznie miała strzaskane i na Persów biła mieczami jedynie.

Leonidas poległ w tej potrzebie, dokonawszy cudów męstwa, podobnie też insi Spartanie co znaczniejsi. Persowie stradali siła ludzi znamienitych, między tymi Abrakoma i Hyperantha, obu Darejosowych synów. Ci dwaj bracia Xerxesa zginęli tam z orężem w dłoni. Walka była bardzo zacięta nad zewłokiem Leonidy. Persowie i Lakedejmonowie odpierali się raz po raz nawzajem, ale wkońcu Hellenowie zmusili wrogów po czterykroć do ucieczki i swoją dzielnością wyrwali z zamętu ciało króla. Tę korzyść mieli aż do przybycia zastępów przez Efialtesa naprowadzonych. Gdy się to stało, zwycięstwo przeważyło się na drugą stronę. Hellenowie cofnęli się zwartymi szeregi w czeluść najciaśniejszą, i mur minąwszy, trzymali się wszyscy, krom Thebanów, na pagórku, co jest u wnijścia do wąwozu i kędy dziś widać lwa kamiennego, wzniesionego na cześć Leonidy. Ci, którym jeszcze pozostały miecze, używali onych w swojej obronie, inni walczyli gołemi rękoma i zębami, lecz barbarzyńcy nacierali na nich z przodu, mur obaliwszy,

a drudzy pchali się na nich ze wszech stron i pogrzebli ich pod nawałą pocisków.

Acz Lakedejmonowie i Thespianie poczynali sobie, jako przystało mężom serca wielkiego, to jednak mówią, że Dienejkes ze Sparty wszystkich przerównał. Przed bitwą, słysząc, iż pewien Trachijczyk mówi, że słońce zaćmi się od strzał barbarzyńców, gdyż takie było ich mnóstwo, próżen trwogi odrzekł, jako mąż, co lekce sobie waży przewagę wrogów: — »Jeśli Medowie słońce zakryją, tem lepiej, bo walczyć będziemy w cieniu, na jego spiekotę nie narażeni!«

Pogrzebiono wszystkich w temże miejscu, kędy polegli byli. A jest napis taki na kurhanie:

„Przechodniu, powiedz Sparcie: tu leżym, jej syny,
Prawom jej do ostatniej posłuszni godziny...“

Skończył. Głucha cisza, zalegająca święty Gaj, trwała ciągle; zasłuchał się lud i zapamiętał; a choć to były czasy nieszczęsnej wojny peloponneskiej, w której od trzech lat niszczyły się bratnie szczepy helleńskie, to jednak wielkie wspomnienie thermopylskiej krwi i chwały wspólną czcią i miłością napełniało serca greckie i buchnęło nagle burzą gromkich okrzyków na cześć osędziałego dziejopisa. Patrzyły nań z podziwem krocie rozpłomienionych twarzy, wyciągały się doń z wdzięcznością tysiące rąk, on zasię stał wzruszeniem blady i księgę swą napół rozwiniętą ściskał nieświadomie w garściach. Okrzyki nie milkły. Lecz oto najbliżej stojący wpadli pod kolumnadę, kędy ustawione były świetne panoplia, porwali ogromną złocistą paiżę, a dziesiątki ramion ująwszy Herodota, postawiły go na niej i podźwignęły w górę. Wonczas okrzyki i oklaski wzmogły

się jeszcze i zdało się, że przebiją niebiosa, zawtórowały im wraz trąby miedziane i fletnie. Uniesiony wysoko ponad głowy tłumów, opromieniony złotymi blaskami przedwieczornego słońca, śnieżnobrody mistrz w białej fałdzistej szacie, na równi z tyloma posągami, zdał się sam być marmurowym posągiem własnej swojej sławy. Hellanodikowie podniósszy wokoło niego laski, otoczyli go jakoby ruchomym wieńcem złotych orłów. Tak brał Herodotos nagrodę za długi żywot, znojnej, cichej pracy...

Sokrates i jego towarzysze do głębi przejęci byli; na wszystkich twarzach dokoła znać było także wielkie wzruszenie. Pejsidoros widział jakiegoś męża w sile wieku, który tuż obok stojąc, czołem oparł się o marmurową podstawę blizkiego posągu, oczy dłonią przysłonił i rzewnie płakał po cichu.

— Taki Herodotos — rzekł Sokrates po chwili — powinienby nigdy nie umierać, jeno wiecznie żyjąc, potomnym pokoleniom czyny wielkich ojców przekazywać.

— O synu Sofroniska, jakżebym ja pragnął tak pisać, jak on! — zawołał ów człowiek pod pomnikiem stojący, obracając ku Sokratesowi oczy jeszcze łez pełne.

— Tyżeś to, przyjacielu! — odpowiedział Sokrates.

— Pozdrowion bądź, Thukydidesie!

— Stałeś przy mnie, a ja cię nie poznałem...

Tak witali go Euripides i Alkibiades, on zasię wszystkich trzech za rękę uścisnął.

— Kogo nie widujesz w Athenach, tego spotkasz w Olympii — mówił Sokrates.

— Bo też z Athen od jesieni wyjechałem — odparł Thukydides. — Niebawem po śmierci Periklesa wybrałem się do Thrakii, dojrzeć nieco kopalni moich w Skapte

Hyle. Teraz do Athen powracam, wojna jest i służyć trzeba miastu.

— Zaprawiłeś się za Periklesa w sprawach Rzeczypospolitej — rzekł Euripides. — Nie mamy człowieka w Athenach, odkąd oczy zamknął Perikles.

— Jakto nie mamy?! A garbarz Kleon, żali nie wylazł z warsztatu i nie dość-że gardłuje na zgromadzeniach ludowych?! Tacy teraz po władzę sięgają! — urągał Alkibiades.

— A jakoż będzie z pisaniem onych dziejów garbarskich? — żartował Sokrates.

— Przyjdzie i na to pora. Wpierw chciałbym dzieje robić. Ale od dziś dnia, gdym słyszał Herodota, spokoju mieć nie będę. Wojnę teraźniejszą opisaćby warto.

— Jakżebyś ty się brał do takiego dzieła? — zapytał Sokrates.

— Żyjąc, walcząc i działając.

— Dobrze. Widno z tego, Thukýdidesie, że uważasz dzieje za wynik ludzkich czynów?

— Jakżeby mogło być inaczej!

— A czyny ludzkie czegóż bywają wynikiem?

— Ludzkich zamiarów, pragnień, pożądań i namiętności.

— A te, czyli w każdym z nas jednakowe bywają?

— Bynajmniej. Są różne, zależnie od różnicy charakterów.

— Sam tedy widzisz, że chcąc pokazać najgłębsze sprężyny dziejów, musisz wpierw poznać dusze ludzkie.

— Tak i ja sądzę, Sokratesie.

— Powiedz mi, jakżebyś mógł dusze cudze badać, nie znając własnej? Poznajże przeto nasamprzód *samego siebie*.

— Zgadzam się z tobą i od tego zacznę.

Tłum już nieco przerzedził się w Gaju, szli więc trochę swobodniej. Pejsidoros podczas onej rozmowy przypatrywał się bacznie Thukydidesowi. Nie wiedział wprawdzie, że w mężu tym przez rodzica jego płynie krew thracka, zmieszana z grecką po matce, wszelako zastanawiały go twarzy onej niezupełnie helleńskie rysy: nos i usta zakreślone były dość grubo, lecz z mądrych, spokojnych oczu wyzierała skupiona powaga i cicha stateczność, a nad pysznymi łukami brwi sklepiła się wspaniale rozbudowana czaszka. Okolone krótkim zarostem oblicze tchnęło męską siłą woli a zarazem niepospolitym rozumem.

— Spiżowy hart musi być w tym człowieku — mówił sobie Pejsidoros — a duch i myśli orłowe...

Mijali świątynię Zeusa, lecz nazbyt już było późno, by wstąpić, a przyjrzeć się posągowi Fejdiasowemu ze złota i kości słoniowej. Słońce na zachodzie obzierało się jeszcze, oblewając purpurą budowle i drzewa; różowiło też naprost świątyni stojącą na wysokim cokole postać olbrzymiego Zeusa, który trzykroć przewyższał miarę ludzką, a dalej nieco, w zorzy wieczornej bielą marmuru świeciła skrzydlata Bogini Zwycięstwa, cudne dzieło Pajoniosa Mendejczyka.

Z rozpostartemi skrzydły, w rozwianych szatach, co wichrem napełnione wzdymały się za nią niby żagle, zdawała się lekko spływać z nadniebnych wyżyn, gałązkę palmy w ręku dzierżąca; pod stopami jej orzeł polatywał. Oczom nie chciało się wierzyć, że ta dziewicza postać, tak powiewna, jest na prawdę przytwierdzona do swej wyniosłej, trójgraniastej podstawy; rzekłbyś raczej, że ku niej dopiero się zniża, lecz jej nie dotyka wcale...

Tuż obok siebie, u wnijścia do świątyni mieli znowu inne dziwo sztuki: na półkolistej podstawie stali tam rzędem odlani ze spiżu wojownicy achajscy, przedstawieni w owej chwili, kiedy zgłaszają się do walki w pojedynkę z Hektorem, a los ma rozstrzygnąć, któremu z nich ta chwała przypadnie w udziele. Chociaż mrok już padał, jednak Sokrates i jego towarzysze zatrzymali się przed tem arcydziełem. Alkibiades wówczas półgłosem jął mówić wiersze z onej pieśni Iliady:

Zaczem ich dziewięci wstanie,
A przed wojennikami wszystkimi najprzódziej
Agamemnon się zerwał z miejsca, władca ludzi;
Po nim Diomed powstał, syn Tydeja duży;
Więc Ajasy obadwaj w hart pancerni turzy,
Idomenej, a za nim druh jego poskoczy
Meriones, co z Aresem krew porówno toczy;
Więc po nich Eurypylos Euajmonów hoży,
Thoas Andrajmonida i Odyssej boży,
A wszyscy walczyć z boskim Hektorem gotowi.
Nestor, gereński harcerz tak do nich przemówi:
»Losem to rozstrzygajcie komu pójść przypada.
Iście radość Achiwom sprawi on nielada,
Co spiż noszą u kolan — i radość niemałą
Będzie miał sam w swej duszy, kiedy wyjdzie cało
Z okropnej walki onej i straszliwej toni«.
Tak rzekł; wzdy bierki sobie zaznaczali oni,
Każdy swoją, a potem wszyscy je gromadą
W szyszak Agamemnonów Atrejczyca kładą,
A lud w modłach wzniósł ręce przed oblicze boże
I niejeden rzekł, patrząc w niebieskie przestworze:
— »Ojcze Zeusie, spraw, niechaj los Ajasa padnie
Albo syna Tydeja, lub króla co władnie
Mykeny bogatemi, kędy złota tyle!
Tak mówili. Bierkami potrząsał przez chwilę

Harcerz gereński, Nestor. I padł, jako chcieli,
Ajasów los...

Thukydides tymczasem ręką bohaterów ukazywał: na osobnej podstawie naprost onych dziewięciu widać było »Nestora, gereńskiego harcerza«, co przyłbicę Agamemnona w dłoniach trzymał. Na puklerzu Idomeneja, gdzie znamię kura było wyrażone, wyczytali też imię rzeźbiarza: Onatas, a na podstawie napis głoszący, że posągi te są wspólnym darem ludów Achajskich. Byliby może jeszcze dłużej przyglądali się onemu dziełu, lecz słudzy świątyni szli już zamykać Altis. Pejsidoros rozstał się z mężami onymi za bramą i wzdłuż muru podążał na noc do gymnasyonu. Z zachodniej bramy wychodziła liczna gromada młodych Spartan, odzianych w krótkie wełniane chitony. Widno jeszcze upojeni słowami Herodota, śpiewali dobranymi głosy gromką pobudkę Tirtajosa:

Naprzód Sparty młódź sierdzista
Wolnych ojców syny;
Tarcz w lewicy okolista
W prawej rohatyny.
Nie żałujcie krwi, żywota:
Dzielne męstwo — Spartan cnota!...

Wobec Atheńczyków i sprzymierzonych z nimi ludów, pieśń taka brzmiałaby gdzieindziej w onych czasach wojennych jak wyzwanie. Wszelako podczas igrzysk, nie tylko w Olympii samej, lecz nawet w najodleglejszych stronach Hellady święcił się pokój boży, ekechejria. Rozejm ten święty ogłaszali Elijczycy, ludy greckie na obrzędy olympijskie zapraszając. W świątyni Hery, jako szacowną pamiątkę przechowywali dyskos Ifitosa, odnowiciela igrzysk

długo zaniedbanych; na kamiennym tym kręgu biegły wokoło wypisane słowa pokoju bożego, co w każdej helleńskiej duszy odbijały się uroczystem i radosnem echem Wytrącały one wojownikom oręż podniesiony do ciosu i niby zaklęciem czarodziejskiem w bratniej zgodzie jednoczyły na chwilę powaśnionych synów przed obliczem wspólnej matki ojczyzny i nieśmiertelnych bogów.



IV.

»Ledwie jutrzenka palce rozwarła różane«, a w stadionie już głowa czerniała przy głowie. Odświeżywszy się kąpielą rzeczną, kwapił się każdy co tchu, by miejsce jaknajlepsze zająć przed innymi. Gwar głosów ludzkich szumiał i huczał jak dalekie morze. I nie dziw, bo trzydzieści tysięcy widzów oczekiwało tam rozpoczęcia igrzysk.

Stadion olympijskie miało kształt bardzo wydłużonego prostokąta. Jeden z krótkich boków, zachodni, przypierał bezpośrednio do Altis, wschodni graniczył z namulistemi łąkami nad Alfejosem; długą stronę od północy tworzyły lesiste zbocza Kronosowej góry, południową zasię stanowił sztuczny nasyp, który oddzielał stadion od hippodromu. Stopni kamiennych, ani choćby drewnianych, do siedzenia dla widzów nie było. Czy na ten wydatek żałowano? Wszak Olympia zasypana nieprzebranemi bogactwy, mogłaby sobie nie żałować i na marmurowe ławy. Wolała jednak zachować przedwieczną prostotę we wszystkiem: jak zwycięzcom za skarby świata stał prosty wianek oliwny, tak widzom wystarczały rzędy niewymyślnych siedzeń darniowych na

końca do końca stadionu i ze wszech stron zaczęto wskazywać na majdan. Spojrzał i Pejsidoros, lecz nie zobaczył nic, krom jakiegoś człowieka, co spóźniwszy się widno, teraz dopiero za miejscem się rozglądał, stanąwszy u wnijścia. Stary był, przeto ktoś z pierwszych rzędów podbiegł ku niemu i swoje miejsce mu wskazał. Ale zaledwie ów mąż kilka kroków postąpił, gdy nagle zakotłowało się w tłumach i wszyscy porwali się na równe nogi, a w niebiosa rozjarzone łuną wschodzącego słońca buchnął huragan okrzyków:

— Sofokles! Sofokles! Witaj Sofoklesie! Bądź pozdrowion Sofoklesie!

Jedni na znak radości w górę wyciągnęli ramiona, inni fałdy himationów uniósszy, nad głową nimi powiewali. Okrzyk nie milknął.

Ów, niespodziewanie zaskoczony, stanął bez ruchu w pośrodku stadionu. Starzec był wspaniałej, prostej postawy, której wiek ugiąć nie zdołał. Kędziory bujne, białe jak mleko i śnieżna, kręta broda przy obliczu jasnem i niezmiętem, czyniły zeń jakowyś niebywały dziw: siedmdziesięcioletniego efeba! Kto raz głowę tę widział, nie mógł jej nigdy zapomnieć. Nie dość, że piękna była umiarem i harmonią linii, ale miała jeszcze taką szlachetność, taką pełnię ducha, tak olympijską jaśniała pogodą, że sam tylko Fejdias godzien był kuć ją w marmurze paryjskim lub rzezać w kości słoniowej. Czułeś, że słońce musiało się cieszyć, patrząc na tego człowieka, że ziemia dumna jest, iż go nosi, bo wieki miną, zanim się znów może kiedy urodzi drugi taki bogów umiłowaniec, piękny i zdrowy na ciele, w sercu dobry i szlachetny, a mądry i natchniony w duchu, istne arcydzieło człowieczeństwa.

Białe himation pysznymi fałdami opływało całą tę piękną postać poniżej kolan spadając, jedna tylko ręka silna i kształtna wychylała się z onej miękkiej tkanicy, przytrzymując ją na piersiach. Głowę nieco podniósł i z wyrazem jasnej radości wymownemi oczyma dziękował ludom Hellady za cześć wyrządzoną sobie, a potem spokojny, cichy i prosty, szedł, aby usiąść.

— Bądź pozdrowion, Sofoklesie! — grzmiało ciągle ze wszech stron.

Aristofanes rozpłomieniony wołał z całej piersi i naraz lauru gałązkę, którą bawił się był przed chwilą, pod nogi przechodzącemu cisnął. Sofokles podjął ją z ziemi.

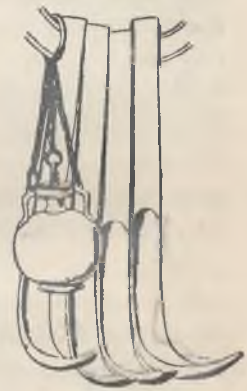
— Oto masz prawdziwego tragika — mówił Aristofanes do Pejsidora — tacy niech się nam święcą!

Pejsidoros niemniej uniesiony zapałem dla wielkiego poety chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili salpingi rozdarły powietrze. Lud zamilkł. Od zachodniej strony długiem, wązkiem przejściem, które łączyło stadion z Gajem świętym, posuwał się orszak poprzedzony przez trębaczy i fletnistów. Na czele, jak zawsze, postępowali Hellanodikowie w purpurze i z orlemi berłami. Piękni chłopcy nieśli za nimi pęki gałązek palmowych, które zwycięzcom wręczać będą sędziowie Helleńscy zaraz na majdanie; rozdawanie wieńców następowało bowiem ostatniego dnia dopiero przy uroczystem zamknięciu igrzysk. Za nimi kroczyli w bieli kapłani wszystkich świątyń olympijskich, a wśród nich, z cienką przesłoną i wieńcem z kwiecia szafranów na włosach, kapłanka Demetry, jedyna niewiasta, której prawo dozwalało wstępu na igrzyska. Atleci z gymnastami szli na końcu w porządny szyk sprawieni.

Zostali oni w głębi przed szrankami, wszyscy inni

zasię ruszyli dalej. Doszedszy do połowy majdanu, kapłani zajęli miejsca w pierwszym rzędzie na południowym nasypie, pod ogromnym spiżowym pomnikiem Zeusa. Hellanodikowie i gymnaści po przeciwnej stronie siedli na stoku wzgórza Kronosowego.

Tymczasem atleci, którzy na sobie nie mieli żadnych szat, krom himationów, zrzucili je z siebie jednym ruchem. Szmer uwielbienia przeleciał po tłumach na widok tylu cudnie zbudowanych młodzieńczych ciał. Oni zaś, odetkawszy małe bańki z oliwą, które z sobą przynieśli byli, namaszczali sobie ciała, by im nadać gibkość i sprężystość. Że jednak przy zapasach wyślizgiwaliby się z rąk jedni drugim, więc też dla uniknięcia tego, drobniuchnym pyłem piaskowym osypywali sobie skórę.



Gdy z tem gotowi już byli, woźny jął kolejno wywoływać imiona mężów, którzy mieli brać udział w biegu prostym (δρόμος). Każdy z wywołanych występował i do pięknego krateru rzucał kamyk swem imieniem oznaczony, poczem rozlosowano miejsca w szrankach zachodnich, przez które przeciągnięty był sznur od drążka do drążka. Naprzód wychyleni, z ramionami opuszczonemi wolno, z lewą nogą wysuniętą do biegu, współzawodnicy ustawili się porządkiem na kamiennym progu, hasła oczekując. Timoptolis dał znak trzechkrotnem doniosłem uderzeniem berła. Tamci puścili się w pęd.

Biegli co sił, co tchu, podani naprzód całem ciałem, a rąk wahadłowym ruchem dodawali sobie rozmachu. Z każdym krokiem coraz chyżej gnali, podobni stadu jeleni

wiatronogich; zdało się, że stopami nie tykają ziemi. Nogi prężące się w takt, migały jeno w powietrzu. Tysiące oczu mknęły za nimi i serc tysiące biły raz w raz przyspieszonem tętnem, a cisza taka zaległa stadion, że słychać było szelest nóg po piasku i krótki oddech biegaczy. Od połowy drogi trzech wysunęło się naprzód i łacno można było zgadnąć, że do jednego z nich należeć musi zwycięstwo. Pierwszy rwał jak wicher Alkajnetos Lamprejczyk, już w poprzednich Olympiadach za bieg uwieńczony; za nim w skok sadził czarnowłosy Arkesilaos Lakedejmończyk, a z tamtymi dwoma nieomal równał się płowy Theognet z Ajginy. Ten spokojnie biegł i równo, jak strzała puszczona z cięciwy. Trwało to chwilę. Niebawem atoli Alkajnetos odbił się znacznie od innych. Rzekłbyś, że ziemia ucieka mu z pod nóg. Arkesilaos nie dawał sobie jednak wydrzeć tak prędko zwycięstwa. Dobył z siebie ostatniej mocy, a pozostawiając płowego Ajginetę za sobą w tyle, nie tylko dognał Alkajneta, lecz nawet jął go wymijać. Jeden przed drugiego wysuwał się tedy w pędzie o krok, o pół kroku — na jedno mgnienie oka. Widzowie z wyciągniętemi szyjami i z rozchylonemi usty śledzili każdy ich wysiłek. Wtem Theognet, który nadążał za nimi, zaczął przyspieszać biegu, jakgdyby mu nagle u ramion wyrosły skrzydła. W stadionie powstał szmer, który niebawem przeszedł w gwar słumiony, gdy Ajgineta niespodziewanie znalazł się tuż obok tamtych. Przez chwilę wszyscy trzej biegli równo, lecz tamci, wyczerpani poprzednim wysiłkiem, sprostać nie mogli Theognetowi. On zasię wysforowawszy się na czoło, leciał jako ptak, śmigając w powietrzu wartkiemi stopy. Przestrzeń topniała przed nim. Cisza znowu zaległa wśród widzów, oczekiwaniem, wzruszeniem wezbrana. Próżno Alkajnetos



i Arkesilaos dobywali sił, dognać go już nie mogli. Dyszący, potem ociekły, mknął jak błyskawica i pierwszy dopadł do celu. Oklaskom, które podniosły się na jego cześć, nie było końca. Młodzieniec w pierwszej chwili wyczerpania ciężko robił piersiami i chwiał się w kolanach, tak, iż musiał się wesprzeć o szranki. Ale wobec radosnych nawoływań ludu, wstąpił weń duch od razu. Tymczasem gymnasta, mistrz jego, podbiegł doń i za rękę przywiódł go do Hellanodików, którzy przy dźwięku salping palmową gałązkę mu dali.

Nastąpił teraz bieg podwójny (δίαυλος), tem od prostego różny, że współzawodnicy po dwakroć mieli przebyć stadion: od szranków do szranków i z powrotem. Wystąpili tedy szybkobiegacze, których imiona wywoływano tak samo i podobnie rozlosowano między nich stanowiska, jeno tym razem w szrankach wschodnich. Ruszyli na znak trzechkrotny, lecz już nie z taką szybkością, aby sił zao-

szczędzić. To też do pół drogi wszyscy biegli niemal jednako. Dopadszy zachodnich szranków, pomiędzy drążkami zawrócili nagle w miejscu i puścili się w drogę powrotną. Lecz teraz wysunął się od razu Klytodamas Klejtorejczyk, biegacz wyborny, i prześcignął innych o tyle, że o jego zwycięstwie żadnej wątpliwości być nie mogło. Przyszedł do mety pierwszy, tłumów okrzykiem i poklaskiem witany i przy salpingach obwołany zwycięzcą.

I znowu losowano miejsca do biegu długiego (δόλιχος). Był on miarą nie tyie chyżości, jak raczej wytrzymałości,



należało bowiem dwadzieścia cztery razy przebiedz bez wytchnienia całe stadion (przeszło $4^1/_2$ kilometra). W przeciwieństwie do poprzednich wyścigów, biegacze sunęli nie pochyleni naprzód; owszem, łopatki i łokcie ściągnęli wstecz, aby w ten sposób rozszerzyć klatkę piersiową, pod którą sterczały zaciśnięte pięści; biegli przytem już nie na samych palcach, jeno całą stopą dotykali ziemi. Im dłużej trwał bieg, tem więcej wycieńczonych współzawodników zostawało po drodze. Gdy po raz dwudziesty przemierzali stadion, liczba ich zeszła do garstki, co z każdą chwilą malała

jeszcze. Dotrwał do końca i pierwszy do mety przybył Euthymenes Arkadyjczyk. Zwycięstwem ziomka uradowany Xenokles na siedzenie obok Pejsidora wyskoczył i wykrzykiwał najgłośniej z wszystkich, a potem na dół zbiegł i uściskał przyjaciela.

Z kolei nastąpiła walka na pięści (πυγμή). Oddawali się jej przeważnie zawodowi tylko szermierze; nigdy zaś nie stawali do niej Spartanie, gdyż nie bywała u nich w użyciu. Nieliczni przeto zgłosili się do niej uczestnicy. Było ich szesnastu. Rozlosowano ich w ośm par, które przy dźwięku muzyki wkroczyły na majdan i rozstawiły się na nim. Pięści mieli pokręcane rzemieniami. Niektórzy z nich opuchłe i zniekształcone mieli uszy, a na głowie i policzkach blizny; były to ślady poprzednich walk na pięści, w twarz bowiem i uszy najbardziej przy tem godzono. Na dany znak szermierze z każdej pary rzucili się



przeciwko sobie z podniesionemi pięściami. Doskakiwali i odskakiwali od siebie, przysiadali ku ziemi i podrywali się w górę, starając się przytem jedną ręką dosięgnąć głowy przeciwnika, drugą zaś od jego ciosów zastawowali się zręcznie, wyprężywszy ją przed sobą. Z każdą chwilą walka stawała się zacieklejszą. Straszno było patrzeć na tych ludzi, co mierzyli się krwią nabiegłymi oczyma, zaciskali zęby z rozjuszenia, z bólu, i miotali się jedni na drugich zawzięcie. Po niejakim czasie słabsi ustąpić musieli: jedni padali ogłuszeni, tak, że ich wynosić musiano; drudzy runąwszy, mieli siły dość jeszcze, by się podźwignąć i chwiejnym krokiem cofali się z majdanu; inni

wreszcie nie czekając, aż ich przeciwnik rozciągnie na piasku, poddawali się, wycieńczeni, guzami okryci, często krwią spluwający. Z pośród ośmiu zwycięzców szczególniejszą dzikością odznaczał się Damoxenos Syrakuzanin, który przed kilku laty na igrzyskach Nemejskich przeciwnikowi swemu, Kreugasowi z Epidamnos przebił był żywot uderzeniem wyprężonych palców, i trupem go położył. Wówczas nemejscy sędziowie odmówili mu wieńca, podając jako powód, iż raz palcami sterczącymi zadany, przeciwi się przepisom; przeto martwe zwłoki Kreugasa uwieńczyli. I teraz walczył Damoxenos z taką zapalczywością, iż Hellanodikowie hamować go musieli w zapędach niezgodnych z przepisami. Widzowie patrzyli nań krzywem okiem, przeciwnikowi jego życząc w duchu powodzenia. Wszelako za pierwszym razem Damoxenos był górą. I znowu losem na cztery pary ośmiu zwycięzców podzielono. Ponownie tedy, w liczbie zmniejszonej o połowę, mieli się zmagać i jak powiada stary Homeros:

na środek boiska
Wyszli wraz, krzepkie ręce wznieśli na się z blizka
I natarli na siebie, tak, że ciężkie pięści
Pomieszały się w młyńcu. Aż po szczękach chrzęści
Cios na cios, a po członkach pot strumieniem ciecze...

Ale tym razem walka trwała krócej; niebawem czterech legło pokotem na ziemi, stękając i dysząc. Wyprowadzono ich zaraz, a czterech zwycięzców los podzielił na dwie pary: Stratofon Elejczyk stawał teraz przeciw Glaukosowi rodem z Karystos na Euboi, Damoxenos miał zaś Labaxa Eufronowego jako przeciwnika. Gdy wpadli na się, Glaukos, chłopak młody, przysadzisty i krępy, tak jął pięściami okładać potężnego Stratofona, że ten w pierwszej chwili zaledwie

zdołał uchronić się sztuką przed gradem kułaków, a równocześnie srogi Damoxenos oburącz nacierał na Labaxa, ten zasię, cofał się jeno, zasłaniał i uskakiwał. W pierwszej parze Stratofon opamiętał się wrychle i widocznie bardziej ćwiczony, przewagę zyskał wnet nad młodym Glaukiem. Karysteńczyk już, już ulegał pod ciosami, gdy wtem starzec, przed Pejsidorem siedzący, zakrzyknął:

— Nie daj się synu! Pięścią weń, jak wtedy po radle!

— Walę! ryknął nieludzkim głosem Glaukos. I jak gdyby mu nagle nowych sił przybyło, jak burza runął na przeciwnika z podniesionemi pięściami.

— Bij! Bij, jak po radle! — zachęcał stary półgłosem, który donośnie rozlegał się w ciszy.

Jakoż za chwilę Stratofon olbrzymi i w szermierce zaprawny, pod razami Glauka zwalił się na ziemię i stękać począł żałośnie.

Tymczasem Labax, utrudziwszy Damoxena, który ciągle nacierał nań bez skutku, skoczył na niego i pięściami tłukł weń, co padały cieżkie i szybkie jak cepy. Damoxenos bronił się zajadle, ale ustąpić musiał z wybitym zębem i broczącą głową. I nie dość na tem, bo lud naigrawał się zeń jeszcze widząc, jako zawstydzon i pokrwawion wraca na miejsce, który innych niemiłosiernie katował.

Tymczasem otaczający wypytywali rodzica Glaukowego, coby znaczyły one słowa: »Bij weń, jak wtedy po radle!?«

— Owo, przed kilku laty — odrzekł śmiejąc się stary Demylos — radlica podczas orki obsunęła się ze sochy mojemu Glaukowi. Cóż tedy czyni ten mój otrok? Nasadza radlicę i pieścią pobija, niby młotem, aż naszła na sochę. Co widząc, do palajstry go zawiodłem i ćwiczyć go dałem w szermierce na pięści...

— Skorom cię teraz posłyszał, ojcze — zawołał Glaukos — wydało mi się, że znów sochę dzierżę w garści, a radło pobijam pięścią. Jak nie zawrę zęby, jak nie zacznę grzmotać!...

Dokoła śmiano się z dziarskiego chłopaka, on zasię znowu na środek majdanu wystąpił, by się w ostatecznej walce zmierzyć z Labaxem, ze wszystkich bowiem sami dwaj pozostali.

Glaukos niemieszkając natarł z groźnym okrzykiem. Jego pięści ogromne, jak istne dwa młoty wznosiły się i opadały z szalonym rozmachem. Labax jednak zawsze na czas uchylał wstecz głowę przed razem, a niekiedy pięść okręconą rzemieniem nastawiał ciosowi. Przytomny i obrotny, z obronnej postawy zgoła nie wychodząc, przeciwnika coraz bardziej rozjątrzał i nużył. Napróżno Glaukowi ojciec przypominał i teraz ową radlicę. Młodzieniec doskakiwał wprawdzie z podniesionemi pięściami, ciskał się i miotał, z okrutną siłą na wsze strony waląc, uderzenia jednak szły w próżnię, lub o ramię Labaxa bez skutku się odbijały. Tak burza morska wściekłe odmęty rzuca na przybrzeżną skałę, co nieporuszona stoi a niezdobyta. Doskonały gracz nie tracił zimnej krwi ani na chwilę, odpierał ciosy nie nacierając bynajmniej, rzekłbyś, że bawi się rozjuszonym Glaukiem. Podziw brał widzów, a równocześnie wybuchali śmiechem, patrząc na skoki daremne i płone zamachy tamtego. Glauka istny szał opanował: uznojony, zziajany, pienił się, podrygiwał, machał pięściami w powietrzu. Wkońcu bezwład zupełny spętał mu ręce i nogi, a w piersi brakło tchu — poddać się musiał.

Tak to Labax Eufronów, nie otrzymawszy sam jednego ciosu, ani żadnego nie zadawszy, odniósł zwycięstwo naj-

trudniejsze i najchlubniejsze w walce na pięści. Nie przebrzmiały jeszcze wznoszone dlań okrzyki, gdy przy odgłosie salping na majdan wkraczali zapaśnicy, których tymczasem rozlosowano w pary walczące. W zapasach (πάλη) było celem obalenie przeciwnika: kto raz legł na ziemi, był już pokonany. Inaczej w pankrationie (παγκράτιον), który w tym dniu zakończyć miał igrzyska: tu samo przewrócenie na majdan wcale nie rozstrzygało walki. Koniecznie trzeba jeszcze było powalonego przytknąć grzbietem do ziemi.

Pejsidoros chętnie byłby się dalej przyglądał popisom, lecz zdjął go dziwny niepokój o wynik jutrzejszego wystąpienia. Myśl, że może o tym czasie przyjdzie mu stanąć w stadionie, przed owymi tłumami, przed matką, mąciła mu przytomność. Oto już od dwóch dni zgoła się prawie nie ćwiczył. Na wstyd, na pośmiewisko pójdzie jutro, jak ten nieszczęsny Glaukos? Cóż stąd, iż cudzym zwycięstwom przyzierać się będzie, gdy własnego zaniedba!? Dłużej nie mógł wysiedzieć na miejscu, przeto z krótkiej przerwy korzystając, wysunął się z pomiędzy widzów, i czemprędzej poszedł do gymnasionu.

Było tam niemal pusto, współzawodnicy do wieńców byli bowiem przeważnie w stadionie, ci zwłaszcza, co się potykali albo już odnieśli zwycięstwo. Tylko pokonani, uszedszy z przed oczu ludzkich, narzędziami w kształcie tępych sierpików oskrobywali sobie ciało z oliwy i pyłu; inni członki strudzone i potłuczone odświeżali parnią lub zimną kąpielą, a serca pokrzepiali nadzieją, że za cztery lata lepiej się im poszczęści. Bardziej pokaleczonych łaziebnicy nacierali maściami i obwiązywali im rany. Po walce na pięści, acz nie najgorzej szwankował, jednak wyglądał najokropniej Stratofon: twarz opuchła, guzami i sińcami okryta, oczy

podbite, warga rozcięta, uszy nabrzmiałe i zakrwawione, sprawiały, że sam do siebie nie był podobien. Złośliwa jakaś ręka wypisała też węglem na ścianie taki epigram:

DO STRATOFONA.

Odyssa po latach dwudziestu pies poznał, co Argos się wołał;
Ty, gdyś na pięści się bił, w ciągu godziny lub dwuch,
Tak całe zmieniłeś oblicze, że piesby cię poznać nie zdołał;
Mało powiedzieć, że pies, lecz i najbliższy twój druh.

Uśmiechnął się Pejsidoros, przeczytawszy; zaraz jednak, pełen zapału, wziął się do ćwiczeń w skoku, rzucaniu dyskiem i oszczepem, a tak się tem zajął gorliwie, że nie postrzegł nawet, kiedy się zaczęło wieczorzyć. Powoli zapadała noc... ostatnia przed jego popisem w stadionie.









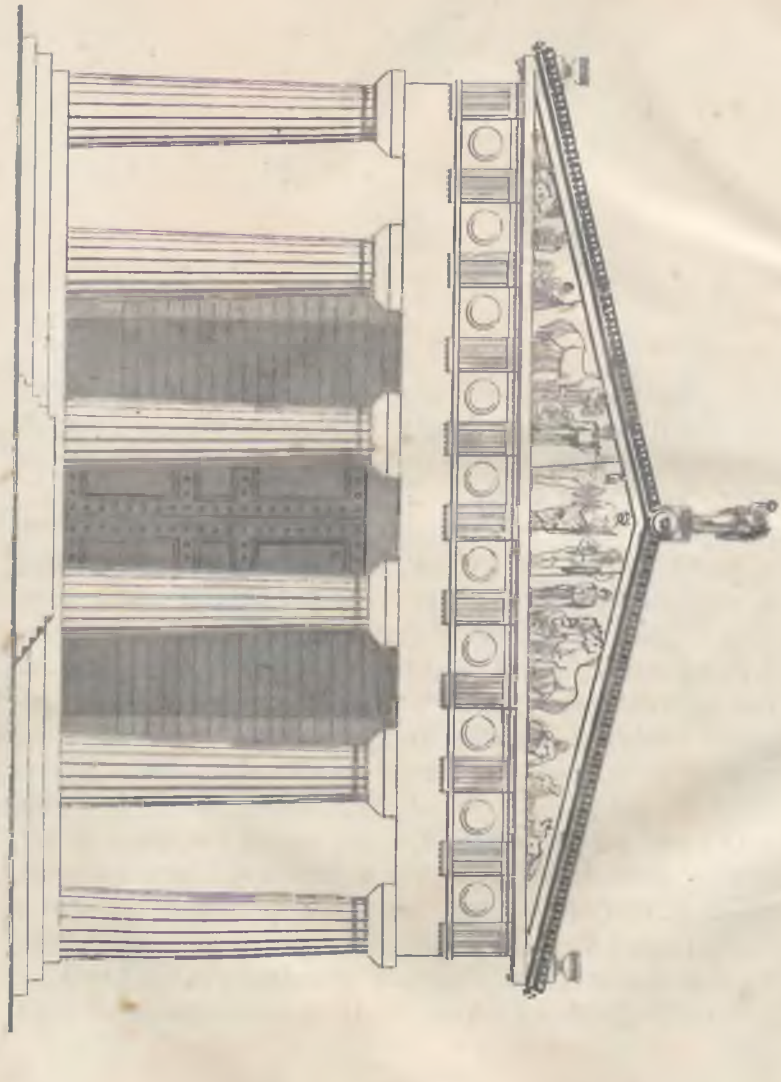
XIV i XV



V.

Dzień brzeszczyć dopiero poczynał, a lud już garnął się tłumnie do hippodromu, kędy miały się do południa odbywać wyścigi wozowe. Wszystkie bramy wiodące do Altis otwarto już także.

Tedy wiódł Pejsidoros matkę po męsku przebraną, a czynił to nie bez obawy o nią. Popisywać miał się w pięciorakiej walce (πένταθλον) po południu dopiero, wszelako musiał uledz jej natarczywym naleganiom i już od świtu poprowadzić ją w obręb święty. Szli tedy obok siebie w milczeniu główną drogą wiodącą od wnijścia, poprzed świątnicę. Niezliczone mnóstwo posągów stało tam z obu stron, tak, iż Ferenike oszołomiona nie wiedziała sama na co patrzyć. Przechodząc popod świątynię Zeusa, zatrzymała się jak wryta. Było się czemu przyjrzeć! Z wysokiego podmurowania wzdłuż wchodowej ściany, wyrastało sześć potężnych kolumn, co dźwigały wspaniałe, spoiste belkowanie, a wyżej, w trójkątnym przyczole gmachu widniały pyszne rzeźby pono Pajaniosa Mendejczyka. Różowiło je właśnie wschodzące słońce. Mistrz w nich przedstawił przy-



gotowania do śmiertelnego wyścigu Pelopsa z Ojnomaosem. Wielki Zeus berłowładny stał tam w pośrodku, a z dwu stron jego bohaterowie obaj w hełmach i z włóczniami w garści.

— Niewiasta przy Ojnomaosie to małżonka jego Sterope; przy Pelopsie widzisz Hippodameję — tłumaczył matce Pejsidoros. — A dalej, po lewicy i prawicy masz tam czworokonne zaprzęgi, czekające na harcerzy swoich.

— A ci klęczący i siedzący wedle rumaków? — pytała.

— Słudzy to są i woźnice. W samych zasię narożach leżą dwaj mężę, to duchowie rzeczni Olympii: Alfejos i Kladeos.

— Piękne! P[illegible] — szeptała Ferenike.

— Pójdźmy ju[illegible] naglił.

— Nie, wstąpmy raczej do wnętrza. Niech się jemu choć napatrzę.

Oboje nie widzieli dotąd Zeusa Fejdiasowego. Weszli tedy i zaraz w progu stanęli bez słowa, znieruchomieni zachwytem. W świątyni jeszcze półmrok panował błękitnawy. Jeno z poza nich przez drzwi ogromne płynęła rzeka różowych promieni słonecznych i ławą blasku padała w głąb, na przeciwległą ścianę. Tam w całym ogromie i olśniewającym przepychu jaśniał, niby drugie słońce, ów jedyny, iście boski dziw. Na złotym tronie siedzący olbrzym osiemkroć przerastał miarę ludzką! Głową sięgał po sam strop świątnicy, barkami rozpierał się na całą jej szerokość. Jeśli ze stolicy swej powstanie, wówczas rozniesie czołem pował marmurowe belki, ściany biodrami roztrąci, a w błękitach wykąpie oblicze. Ale on pogodnie i łaskawie poziera z pod wieńca uwitego ze złotych gałązek oliwnych, i na światowładnej dłoni unosi lekko skrzydlatą Boginię

Zwycięstwa, wzrostem równą człowieczej postaci. Na berle, które dzierży w lewicy, siadł orzeł rozpostarszy loty. Ogromne ciało boga, po pas obnażone, promienieje świetlistą białością kości słoniowej; fałdzisty płaszcz przez lewe ramię z tyłu przerzucony, owija mu lędźwie, spływa na kolana i ku stopom się zwiesza połyskujący, szczerozłoty. I ponad czołem dostojnem bujne kędziory, i kręte zwoje brody, i pod nogami podeszwy sandałów, i tron, i podnóżek tronu, wszystko, wszystko błyszczy złotem najczystszem. Ale czemże była kruszcu drogocenność, czem kości słoniowej wspaniałość, czem odpryski tęczowe grające w drogich kamieniach — wobec nadludzkiej piękności tego zjawiska! Przecudne linie posągu płynęły od głów do stóp majestatycznym rytmem i zlewały się w jakąś niewypowiedzianą niebiańską harmonię. Słodka dobroć, nadziemska cisza, przedwieczna pogoda i piorunowa moc wiązały się i przenikały wzajem w tej postaci. Boskości łuna od niej biła i słoneczną aureolę rozpalała na jej skroniach.

Oni zasię oboje patrzyli nie wiedząc o świecie, ni o sobie. Piersi coś im rozpierało, coś za gardła ścisnęło. Stali tak oczarowani, olśnieni i zapamiętali się całą duszą, bo nawet nie czuli, że płaczą, choć grube łzy ciekły im po twarzach.

Przystąpił do nich przewodnik po świątyni, mówiąc, że im pokaże i objaśni kwiaty i postaci rzezane płasko na szacie Zeusowej i na nogach tronu wyobrażone złote Boginie Zwycięstwa i młodzieńców, którzy walczą ze sfinxami. Ciągnął ich, by oglądali na poprzecznicach między nogami tronu stojące dziesiątki złotych posągów, coś o podnóżku wspomniał, na którym są wyrażone walki z Amazonkami. Oni już dzisiaj oglądać nic nie mogli, ani chcieli. W sercu

wezbraniem, w duchu przepełnionym już teraz nic im się pomieścić nie mogło. Wszak śmiertelnemi oczyma, twarzą w twarz widzieli Boga!

Wyszli ze świątyni. Budowle, posągi, drzewa, kwiaty, wszystko się im zdało wyblakłe i zgasłe. Jedno tylko słońce na niebie zwykłą jasność miało. Długo szli w zadumie.

— Zali można potem na co jeszcze patrzeć? — odezwał się pierwszy Pejsidoros głosem przytłumionym.

— Iście nie człowiecze to dzieło, jeno niebieskie widzenie — odrzekła Ferenike i zamyśliła się znowu.



Nie zwróciła nawet uwagi, gdy mijali miejsce, na którem stał niegdyś dworzec Ojnomaosa. Pozostała tam jedyna prastara kolumna drewniana, nowemi kamiennemi otoczona, co nad nią dźwigały niewielki zdobny dach, pamiątkę oną chroniący. W milczeniu przeszli potem opodal wielkiego ołtarza i wejść mieli w portyk Agnaptosa, wiodący do hippodromu, kiedy nagła wrzawa tysiącznych głosów uderzyła im uszy.

— Oto rozstrzygnął się konny wyścig! — zawołał Pejsidoros.

Pod kolumnadą pustego portyku zaroiło się w tej chwili od ludzi, którzy głośno i żywo rozprawiali.

— Powiedz mi proszę, kto zwyciężył? — zagadnął Pejsidoros jednego z nich.

— Nie widziałeś, to żałuj! — odparł tamten. — Przygodziła się bowiem rzecz niebywała. Klacz Fejdolosa Koryntyanina, przezwiskiem Aura, wybiła się naprzód. Jechał na niej Fejdolosów brat młodszy. Ten mijając pędem »ołtarz popłochu końskiego«, wiesz, tam na zakręcie, zwalił się z siodła. Lecz Aura nie czekała aż się podniesie, jeno bez jeźdźca gnała dalej, aż do celu przyszła pierwsza. Tu zatrzymała się przed Hellanodikami. Oni przeto zwycięstwo jej przyznali.

— I słusznie — odrzekł Pejsidoros. — Toć na wyścigach koń nagrodę bierze, nie jeździec.

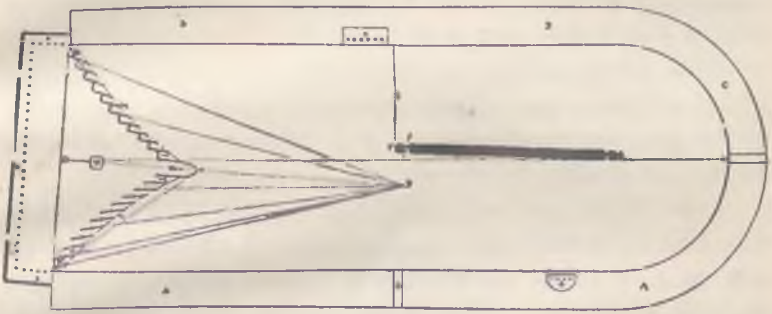
Nie bez trudu zdołali sobie zdobyć dwa siedzenia w górnych rzędach, w połowie mniej więcej północnego nasypu, co hippodrom oddzielał od stadionu. Siedli tedy wprost powyżej Hellanodików, a metę mieli naprzeciwko w dole. Jak na dłoni widzieli przed sobą hippodrom w całej długości od zaokrąglonego końca na wschodzie, kędy była brama główna i miejsce na zakręcie »popłochem końskim« zwane, aż po zachodni portyk Agnaptosa, gdzie ustawione były szranki wyjazdowe.

W szumnym rozgwarze nieprzejrzanych tłumów, co roiły się wszędzie na nasypach, jął Pejsidoros, nachyliwszy się ku matce, objaśniać jej półgłosem rozkład hippodromu i urządzenia wyścigowe.

— Stamtąd wyruszą — mówił ukazując jej szranki.

— A jakoż to — pytała — przed wyjazdem zrównają się w jeden szereg, skoro szranki one tak dziwnie postawiono? Wszak tam dwa stanowiska środkowe najbardziej są naprzód wysunięte, a następne, im dalej po bokach, tem bardziej ku tyłowi cofnięte.

— To urządzenie — odpowiedział — służy właśnie do tem łacniejszego uszykowania wozów w jeden rząd. Ci dwaj na stanowiskach środkowych nie ruszą się wcale. Dwaj następni z obu stron, gdy opadną sznury zagradzające im drogę, podjadą nieco, aż w równi staną z pierwszymi. Potem z obu stron wyruszy znowu dalsza para i zrówna się też do szeregu. Tak podjeżdżać będą kolejno, póki się wszyscy nie uszykują równo, jak pod włos.



— A którędyż pojadą?

— Widzisz-li tam na środku w połowie hippodromu wielki on posąg Hippodamei?

— Widzę, twarzą stoi ku szrankom zwrócona.

— Od niej tedy na lewo się wezmą i gnać będą wzdłuż południowego nasypu, aż dobiegną kędy ów ołtarz okrągły.

— Tam na prost głównej bramy, gdzie zakręt największy?

— Tam właśnie. Miejsce ono podle ołtarza zowie się »końskim popłochem«, bo rumaki tam się najczęściej stra-

chają i wywracają wozy. Powiadają, że tam kogoś zabitego pogrzebiono, którego duch w miejscu onem straszy. O tem, ktoby zacz był, różni różnie mówią. Najczęściej można słyszeć, iż to Myrtilos, Ojnamaosa woźnica, który swemu panu konie zdradliwie popłoszył przez Pelopsa przenamówion. Ołtarz ów zasię postawiono, bo na nim woźnice ofiarują, by sobie szczęsny przejazd wyjednać. Od ołtarza do posągu Hippodamii mur widzisz przeciągniony środkiem na wzdłuż hippodromu. Którzy miną szczęśliwie zakręt i »popłoch koński«, prosto już do celu jadą, pomiędzy murem a północnym nasypem.

— Ukaż mi, proszę, kędy cel?

— Celem jest właśnie posąg Hippodamei, tam, gdzie prawicę trzyma podniesioną, a w niej przepaskę dla zwycięzcy na głowę.

— Tedy pod nami tutaj, kędy siedzą Hellanodikowie.

Rozgłośny dźwięk salping przerwał ich rozmowę. Rzesze przycichły, a równocześnie trzema bramami portyku Agnaptosa wjechało kilkanaście wozów, każdy czwórką rumaków pod rząd zaprzężony. Pyszne konie z grzywami przystrzyżonemi w szczotkę, stąpały jak w tańcu. Woźnice przybrani byli w długie, fałdziste szaty bez rękawów i podpasani wysoko, tuż pod piersią. Pomiędzy nimi poznał Pejsidoros Alkibiadesa, który powoził czwórką mlecznobiałych bachmatów.

Nastąpiło zwykłe wywoływanie nazwisk i losowanie miejsc w szrankach, poczem wozy wjechały na swe stanowiska. Sznury szranków opadały przed nimi kolejno, a zaprzęgi, po jednym z każdej strony, wysuwały się naprzód i każda para z innemi równała się do szeregu, jak to Pejsidoros opowiedział był matce. Ukazywał on jej tym-

czasem orła pozłocistego, co siedział na ołtarzu przed portykiem Agnaptosa, w tyle poza szeregiem wozów — i na posrebrzanego delfina, który przed zaprzęgami wznosił się na wysokiej tyce. Nie skończył jeszcze Pejsidoros, gdy orzeł na raz, jak żywy roztoczył skrzydła i wzleciał w górę, a równocześnie delfin spłynął na dół. Znak to był rozpoczęcia biegu.

Skrzypnęły koła, klasnęły bicze, a tentent kopyt głucho zadudniał po piaszczystym majdanie. Chyżość pędu rosła z każdym krokiem. Zanim przejechali obok posągu Hippodamei, rumaki gnały już nakształt burzy. Oni zasię z płonącemi twarzami, z ogniem w oczach, krzepko stali na dwukolnych wozach naprzód pochyleni, a w rękach daleko przed siebie wyciągniętych dzierżyli poczwórne wodze. Raz ten, raz ów, krótkim, przenikliwym wrzaskiem przynaglał konie albo śmigał nad nimi w powietrzu długim biczem. Pędzili w cwał. Trzy wozy wysunęły się teraz poprzed inne. Nieznacznie zrazu, potem coraz bardziej zyskiwały przewagę. Jeden z nich, zaprzężony w rumaki niby smoła kare, należał do Polypojthosa Lakedajmończyka; drugim zaprzęgiem srokatych ogierów powoził Kleosthenes z Epidamnos, trzecie były śnieżne siwce Alkibiadesa. Ci trzej, za posągiem Hippodamei o lepsze walczyli między sobą, przeganiając się co tchu starczyło koniom. Inni, pozostawszy w tyle, napróżno kusili się by ich dopędzić. Chwilami udawało się to czwartemu woźnicy, Theochrestowi z Kyrenei; ten kasztanowate miał konie, jędrne i chodne. Smagał je bezustannie i widno nie tracił nadziei.

Widzowie nie spuszczali ich z oka. Oto już, już nadejdzie najtrudniejsze miejsce: »popłoch koński« z okrągłym ołtarzem. W półkolistym zakręcie konie i woźnice mimo-

woli na bok się pochylili ku środkowi hippodromu, jakgdyby potężny a złośliwy duch, pod ołtarzem ukryty, przemocą pociągał ich do siebie.

Pejsidoros patrzył w Alkibiadesa jak w tęczę. Ów nie tylko, że nie zwolnił na skręcie, ale jeszcze podciął swoje siwe, gnając jak opętany; on sam, i konie, i wóz, wszystko pokładało się ku środkowi.

— Runie! — szepnęła Ferenike synowi.

— Nie runie, to mistrz — odpowiedział Pejsidoros.

Równocześnie srokacze Kleosthenesa, którym wypadło biedz najbliżej ołtarza, zwolniły nieco i okrążały go szybko, lecz ostrożnie. Z onego zwolnienia skorzystał nadjeżdżający Theochrestos Kyrenejczyk: dziko, przeciągle gwizdnął na kasztanowate swoje rumaki, które już i tak rwały z kopyta. Chciał snać wyminąć Kleosthena, wjechał bowiem cwałem pomiędzy wóz tamtego i ołtarz. Wtem koło jego lewe zgrzytnęło o kamienny zrąb ołtarza, co widząc Theochrestos nagłym ruchem skręcił konie w przeciwną stronę. Uprząż pękła; rumaki szarpnięte gwałtownie wspięły się na zadzie, a jeden z nich, targnąwszy się w bok, wpadł na wóz Kleosthenów, który nie zdołał umknąć się w porę. Pchnięty z nienacka Kleosthenes wypadł z wasągu i pokrwawiony, stękający leżał na boisku. Jego kasztany pusty wóz uniosły w szalonym pędzie i runęły wnet, uwikławszy się w uprzęży. Za nimi rwały srokate konie Theochresta, wlokąc wóz o kole strzaskanem, aż jeden z nich zarył kolanami w piasku i trzy inne za sobą pociągnął do upadku. Theochrestos, tyla złego sprawca, stał nieprzytomny, ściskając oburącz głowę potłuczoną. Tamci dwaj tymczasem szczęśliwie minęli półkole zakrętu. Lakedajmończyk Polypojthos ogiery swe kare siekł biczem i zachęcał słowami. Szły tak, że ziemia

pod niemi się migała. Siwce Alkibiadesa z rozwartemi chrapami zdawały się brzuchami o piasek ocierać, a kopytami ledwie dotykały ziemi. Oba zaprzęgi szły równo z błyskawiczną chyżością. Widzom ciekawość i wzruszenie oddech zapierały.

Niedaleko przed metą, Alkibiades wziął się do bicza, którego przedtem niewiele używał. Smagane gęstymi razami rzemienia, siwe bieguny wyciągnęły się jeszcze bardziej i z wysiłkiem straszliwym parły naprzód. Już u nich widać nie było ani rozmachu nóg, ani skoku, rzekłbyś raczej, iż w powietrzu zawisły i mkną do widziadeł końskich podobniejsze, niźli do żywych zwierząt.

I kare też darły co mocy, bryzgając poza się płatami białej piany. Polypojthes tak je biczem okładał, że trzask rozlegał się po całym hippodromie. Lecz ni razami, ni krzykiem nie mógł z nich szybszego pędu wydobyć, wszelaką bowiem siłę i dech wycisnął z nich był już pierwej. Widział, jak Alkibiades go mija o pół... o całą długość konia... o wozu długość — i rozpacz go brała. Siwosze zaś, wyprężone jak struna, leciały wciąż naprzód i naprzód, grzmiała pod nimi ziemia, świstało koło nich powietrze. Alkibiades górną połową ciała przewieszony naprzód poprzez krawędź wozu, jarzące źrenice utkwił przed siebie w przestrzeń, a nad głową długim biczem wywijał, wołając na konie ochrypłym głosem: Eja-ho! Eja-ho! Tak przeleciał przez metę i daleko poza nią, gdyż rumaków oszalałych rozpędem nie mógł od razu powstrzymać.

Powitał go potężny okrzyk tłumów. Zaroiły się rzesze. Wielu zbiegało z góry na majdan, by uścisnąć rękę zwycięzcy. On zaś powoli nawrócił i podjechał ku Hellanodikom. Zeskoczył z wozu i z rąk sędziów Helleńskich otrzymał

purpurową przepaskę, znak odniesionego w hippodromie zwycięstwa, poczem wstąpiwszy na wóz, obwiązał ją sobie sam koło skroni. Wołania i oklaski na jego cześć rozbrzmiewały ciągle. Wtem uciszył je, podnosząc rękę; tłumy zamilkły.

Tak na wozie stojąc, w pośrodku majdanu, dumą i szczęściem upojony, cudny młodzieniec jął mówić:

— Mężowie Helleńscy, oto mi poszczęścił Gromowładca olympijski! Oto mi Posejdon, fal morskich i rumaków chyżych Poskromca dał zwycięstwo! Którym objaty ślubię za to mnogie i dary sowite, rozradowali bowiem serce w piersi mojej. I wy, mężowie Helleńscy, uciechę i życzliwą chęć mi okazujecie. Zali ja wam za to wdzięczności nie dłużen? A jakoż się wam godnie wypłacę? Tedy mówi mi dusza moja, iżbym jutro, skoro chlubny wieniec oliwny włożę na głowę, ilu was tu jest w Olympii, ugościł jako przyjacioły. Przeto każdego z was i wszystkich społem na ucztę zapraszam, iżbyście wiedzieli a pomnieli sobie, jako żarliwie wszelkie plemiona całej Hellady miłuje syn Klejniasów, Alkibiades Atheńczyk.

Rzekł; zdało się wtedy, że niebo zawali się od krzyków. Runęły ku hojnemu zwycięzcy rzesze, otoczyły ciżbą gęstą wóz jego i wiodły go w tryumfie ku głównej, wschodniej bramie. Hippodrom opustoszał wkrótce. Tak skończyły się do południa wyścigi.

VI.

Po dwugodzinnej przerwie miała się odbyć w stadionie pięcioraka walka, do której stawał Pejsidoros. U matki w namiocie do syta się posiliwszy samem prawie mięsiwem, jako było w zwyczaju siłaczy — umawiał się potem z Fereniką, iż u bramy północno-zachodniej Gaju świętego będzie stała podle Herajonu, czekając pochodu athletów i tam przyłączy się nieznacznie do przechodzącego syna, by z nim, jako mistrz gymnasta, wnijść razem do stadionu. Poszli nawet zaraz do Altis, iżby miejsce dokładniej opatrzyć i oznaczyć.

W Gaju, pod cieniem platanów, ludzi było niewiele o tej porze, tłumy południowały bowiem w obozowisku. Potkali jeno Sokratesa, który w chłodzie przechadzał się z Alkibiadem, żywo z nim rozprawiając. Ujrzawszy onych oboje, z daleka już stanął.

Na Palladę i oliwne jej drzewo! — zawołał — niechajże się i tobie, Pejsidorze Rhodyjczyku, poszczęści w pentathlonie!... Do gymnasyonu już widno ciągniesz, a domyślam się, że w towarzystwie swojego mistrza gymnasty!

I przy tych słowach ręką witał Ferenikę.

— Ten ci jest mistrz mój, Rhodyjczyk, jako i ja — odrzekł niezmieszany Pejsidoros — a dzieją mu Ferenikos.

Chcąc rozmowę czemprędzej odwrócić, podszedł ku Alkibiadesowi a ścisnąwszy go za rękę, rzekł:

— Rad jestem, Alkibiadesie, zwycięzcę powitać w tobie!

— I ja rad byłem, ale już nie jestem — odezwał się Sokrates, nim Alkibiades podziękować zdążył.

— Już rad nie jesteś? Wszak przyjaźnisz się z nim, Sokratesie! — mówił Pejsidoros.

— Właśnie dlategom nie rad, iż mu jestem przyjacielem.

— Nie rozumiem, co chcesz wyrazić, o Sokratesie.

Powiedz mi, Pejsidorze, czy i ty również odniósszy dziś palmę w pentathlonie, masz zamiar uczynić potem szaleństwo?

— Jakie szaleństwo? — zapytał Pejsidoros.

— Helladę całą na śniadanie zapraszając!

— Mnie na to nie stać, nie jestem tak bogaty.

— Czy Alkibiades, mniemasz, nad tem się zastanawiał?

— Nie wiem, bo nie znam go na tyle.

— Gdybyś go znał, wiedziałbyś, że nad czynami swymi zwykł zastanawiać się już po czynach...

Urodziwy syn Klejniasów płonął z gniewu i wstydu, wargi przygryzając. Wtem rzucił dumnie głową i wybuchnął:

— Po czynach się zastanawiam. Niech będzie! Ale sobie i tak poradzę, a wyrzeczone w hippodromie słowa spełnić muszę! Ty, Sokratesie, do tego mi przecie nie dopomożesz...

— Chyba jeden Hipponikos Kalliasów mógłby ci do-

pomódz w tej chwili. Taki bogacz! A pono z myślą nawet o tem się nosi, by ci wyswatał córkę swoją Hipparetę... — podrwiwał mędrzec. — Na weselne gody nie zapomnij też zaprosić kilkudziesięciu miast helleńskich.

— Szydź do woli, Sokratesie. Ja wiem jednak, iż sławę i łaskę helleńskich narodów zaskarbiłem sobie dziś hojnością.

— Bo widno nie umiesz zaskarbić sobie onych mądrością i cnotą. Byłoby to lepiej dla ducha twego i dla twego mieszka.

W tej chwili trębacze dali znak, że zapaśnikom do pentathlonu czas gromadzić się w gymnasionie. Przez Altis płynęły już tłumy do stadionu. Pejsidoros i matka jego żegnali więc tamtych obu, a po chwili rozstali się z sobą. Ferenike stanęła naprzeciwko prastarego chramu Hery, plecami oparła się o kamienny wysoki mur, otaczający okrąg, Pelopsowi poświęcony i czekała. Po lewej ręce miała wielki popielisty ołtarz, na grubem podmurowaniu wzniesiony dla »białoramiennej tronu złotego władczyni«. Za podmurowaniem onem łatwo mogła przytaić się przed orszakiem Hellanodików i zapaśników nadchodzących od gymnasionu; wiedziała zaś, że syn przechodzić będzie tuż obok ołtarza, bo tak się umówili. Przyzierała się tymczasem odwiecznemu Herajonowi, którego długa, południowa ściana, rozciągała się przed jej oczyma. Rzadko rozstawiona kolumnada podpierała drewniane wiązanie dachu. I samychże kolumn kilka było z drzewa: widno, że jeszcze nie wszystkie zastąpiono w kolei wieków kamiennemi. Wzdłuż dachu biegły ozdoby z wypalonej gliny, po staroświecku na tle czewonem czarno malowane. Cała świątnica przypominała niepamiętne, prawie przeddziejowe czasy.

Dźwięk fletni, piszczałek i salping zbudził Ferenikę

z zadumy, a równocześnie zwabił sporą garść ludzi, którzy z dalszych stron Gaju świętego zbiegli się, aby widzieć pochód zapaśników. Niektórzy chcąc przyjrzeć się lepiej, powchodzili na podmurowanie świątyni.

Ukryta za węgłem ołtarza, Ferenike widziała z daleka nadchodzących Hellanodików i kapłanów. Muzycy szli tuż poza nimi, za muzykami siłacze. Poznała wśród nich syna. W chwili, gdy podchodził ku niej, zgiełk uczynił się podle Herajonu: z widzów któryś wychylił się nieopatrznie i spadł z podmurowania. Śmiechy zawtórowały upadkowi. Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę, ona zasię, z chwilowego zamętu korzystając, przyłączyła się prędko do Pejsidora i wmieszawszy się między athletów, niepostrzeżona kroczyła już dalej obok niego.

Szli tedy wzdłuż wyniosłej terasy, na której rzędem, jeden przy drugim, stały skarbce różnych ludów greckich, zbudowane w kształcie małych świątyniek, a zawierające mnóstwo drogocennych darów; minęli potem u stóp terasy Metroon, niewielką świątynię, wzniesioną ku chwale Matki bogów. Za Metroonem, aż do końca Gaju świętego, wzdłuż drogi pod samą terasą, widniały mniejsze i większe posągi Zeusa, gęstym szeregiem ustawione.

— Zanes! — odezwał się jednem słowem Pejsidoros.

Przypomniała sobie, że mianem takiem zowią Elijczycy posągi owe, wznoszone Zeusowi z grzywien, które Hellanodikowie nakładają na współzawodników, łamiących przepisy olympijskie. Pod każdym posągiem, na podstawie, jest wyryte imię tego, kto musiał go sprawić za karę i wypisany rodzaj przekroczenia.

— Dla postrachu i przykładu na wieczne czasy pomieszczono tutaj owe Zanes — myślała w duchu Ferenike —

iżby na wstępie do stadionu przypominały szermierzom i biegaczom posłuszeństwo prawom i surowość Hellanodików. A ze mną cóżby oni poczęli? Nie skończyłoby się na grzywnie i na nowym Zanie!

I spadziste czeluści Typajonu stanęły jej przed oczyma. Wysiłkiem woli otrząsnęła się z tych myśli; podniosła hardo głowę i spojrzała na syna. Lecz jemu także ciężko musiało być na sercu. Wzrokiem unikał widoku Zanów, a na twarzy wyrytą miał troskę.

Kroczyli teraz długiem, wązkiem przejściem, niby korytarzem odkrytym pomiędzy dwiema kamiennemi ścianami, poczem znaleźli się w stadionie przed zachodniemi szrankami.

Ferenike, w gronie innych gymnastów, zajęła miejsce przy Hellanodikach; on z innymi współzawodnikami przystąpił do losowania stanowisk. Poczem chlamydy zrzuciwszy, jęli się nacierać oliwą. Tymczasem pacholikowie przed każdem miejscem w szrankach ustawili nizkie, połogie podwyższenie z drzewa i pokładli obok na ziemi po parze ciążek: były to spore półkręgi żelazne z wycięciem na dłoń i pięcioma dziurami na palce. Równocześnie chłopcy spulchnili ziemię naprost szranków. Pythokritos, syn Kaliników, słynny fletniarz Sykioński, stanął poza szrankami w tyle, przyłożył do ust podwójną fletnię i przebierając palcami, wydobył z niej słodką, skoczną melodyę.



Rozpoczęła się próba skoku. Z dwudziestu współzawodników każdy po kolei wstępował na podwyższenie, chwytał żelazne ciążki, rękoma po kilkakroć wstecz i naprzód wprawiał je w ruch wahadłowy w takt muzyki, sprężyście

uginając się przytem w kolanach, a nabrawszy w ten sposób ogromnego rozmachu, równemi nogami naprzód skakał, co mu sił starczyło. Ciążki, po skoku, ciężarem swym osadzały go na miejscu. Zaczem podbiegał pacholik i kilof długodzióby w miejsce ono wbijał dla odznaki.



Gdy kolej przyszła na Pejsidora, ujął krzepko za ciążki, wprawił je w potężny rozmach, zebrał się w sobie i jak z procy wyrzucony, dał olbrzymiego susa. Zdawało mu się, że uleci w powietrze. Opadając, przysiadł aż do ziemi. Gdy po ostatnim skoku i kilof ostatni zarył się w majdanie, Hellanodikowie zstąpili z miejsca swojego, a chłopcy, przeciągnąwszy powróz przez całą szerokość stadionu, pięć najdalej wysuniętych kilofów odgrodzili od reszty.

Pięci onych zapaśników miało prawo stawać do następnego popisu: w rzucaniu oszczepem. Pejsidoros był między tymi pięcioma drugi z rzędu. Wszyscy inni, jako pokonani, ustąpić musieli od pentathlonu.

Przyniesiono teraz lekkie oszczepy. Każdy z nich, poniżej połowy drzewca, miał rzemienną pętelkę. Jak tamci czterej, tak i Pejsidoros ujął swój oszczep grotem na dół, a równocześnie założył wskazujący i średni palec w pętlę. Zaczem prawicę prosto przed siebie wyciągnął i zgiął



ją silnie w łokciu, tak, iż garść trzymająca oszczep, wysterczała w tył, po za głowę, a środkowa część drzewca na przedramieniu spoczęła między dłonią a łokciem, ostrze zaś poziomo naprzód się skierowało. Pejsidoros przygiął serdeczny i mały palec, wyprostował tamte dwa, założone w pętlę i stanął gotowy do rzutu. Teraz wszystkie mięśnie natężył w nieruchomem ramieniu i krótkim, gwałtownym ruchem skurczył rękę naprzód w przegubie: oszczep za pętlicę targnięty z całej mocy, furknął przez powietrze i daleko zarył się w piasku. Inni równocześnie uczynili to samo.



Czterej, których rzut był najlepszy, mieli prawo dalej ubiegać się o wieniec: Pejsidoros, Xenokles z Majnalos, Kleaïetos Elejczyk i Tisamenos z Naxos wyspy. Piąty ustąpić musiał ze wstydem i żalem. Stanęli tedy w szrankach do trzeciej próby, do biegu prostego. Gdy sznur opadł przed szrankami, rzucili się całą siłą naprzód. Pejsidora nogi niosły same, a gibkie kolana, w takt z potężnym rozmachem rąk, prężyły mu się i zginały do posuwistych skoków. Zdawało mu się, że niby Hermes w posły do ludzi od Zeusa leci, skrzydlatemi stopy przecinając powietrze. Pierwszy biegł i to siły jego podwajało.

— Prędzej! Jeszcze prędzej! — zachęcał sam siebie w myśli, a pochyliwszy się jeszcze bardziej naprzód, wyrzucał przed siebie chybkie nogi, jak cwałujący rumak. Parło go naprzód poczucie, iż nie da sobie wyrwać pierwszeństwa i że oczy tylu tysięcy śledzą każdy jego ruch... i one, kochające źrenice matczyne.

Minął tak połowę drogi; cel, przeciwległe szranki, zbliżały się z każdą chwilą.

Nagle doleciał go stłumiony jakiś pomruk między widzami, a tuż poza sobą usłyszał szelest kroków po piasku.

— Nie daj się! — krzyknął w duszy sam do siebie i popędził jakby w lot Eumenidy czarne go ścigały. Lecz w piersiach tchu nie stawało, nogi nie chciały śmigać już tak szerokim susem, walczyć musiał z każdem ścięgnem, przyniewalać każdy mięsień, ciężyło mu własne ciało...

Gwar w tłumie rósł, kroki tętniły coraz bliżej...

Potem usłyszał je obok siebie i Xenoklesa ujrzał, Arkadyjczyka.

Młody góral, szczupły i wysoki, sadził jak chart. W mgnieniu oka Pejsidoros miał go przed sobą.

Wiedział wprawdzie, że choćby do mety przybył drugi, a nawet trzeci, nie utraci przez to prawa do wieńca w pentathlonie, lecz nie chciał być drugim, wobec tych rzesz, wobec siebie, wobec matki.

Myśl o niej popędziła go jak bicz. Zebrał się w sobie całym wysiłkiem woli, całą potęgą pożądania. I przemocą pchnął sam siebie naprzód. Pomiędzy nim a tamtym przestrzeń zmalała. To dodało mu otuchy.

— Muszę! — krzyczał w nim jakiś głos wewnętrzny, choć krew biła w skroniach, w głowie szumiało, a pot zalewał oczy i ściekał po grzbiecie.

— Muszę! Muszę! — powtarzał sobie i dobywał z siebie coraz nowego rozpędu. — Dogna, prześcignie, choćby miał trupem u celu paść... I dognał... Biegli równo... Jeszcze trochę, a prześcignie... Musi!... Już, już — prześcignął!

I biegł, leciał, mknął, aż ogarnął go szał. Nie myślał, nie wiedział, nie czuł już nic, ani wysiłku, ni trudu, ni własnych nóg. Niosło go coś, rwało bezwiednie. Migała pod nim ziemia i umykała mu z pod stóp, gdzieś wstecz. W szeroko rozwartych, wpół obłędnych oczach jedno tylko miał: cel! Jeszcze chwila mała doń... jeszcze krok...

Naraz dokoła zahuczało, jakby wichura tocząca morskie wały. Przed sobą zaś ujrzał przeciągnięty powróz. Oburącz zań pochwycił i stanął. Pierwszy był!

Okrzyki ludu huczały wciąż, on jednak nie dbał o nie, zapatrzony tam, gdzie wiedział, że siedzi matka.

Po nim natychmiast i razem niemal Xenokles i Tisamenes dopadli do mety. Ostatni przyszedł Klearchos, przeto stracił prawo do wieńca i musiał ustąpić ze wstydem i żalem. Tamci trzej zasię stanęli niebawem do czwartej próby, do ciskania dyskiem.

Przyniesiono im trzy kręgi ciężkie, spiżowe. Zająwszy miejsce na kamiennym progu szranków, każdy z nich stał przez chwilę z dyskiem w lewej dłoni spuszczonym, a wzrokiem rozmierzał przed sobą przestrzeń. Potem przełożył krąg do prawej i tęgo rozparty w nogach, młyńca nim poza się wstecz zatoczył ze wszystkich sił, przyczem, dla przeciwwagi, górna połowa ciała musiała się mocno przechylić w dół, ku lewej stronie. Więc chyżo, jak błyskawica, zatoczył dyskiem półkole z tyłu naprzód. Kamienny krąg, w tej chwili z dłoni wypuszczony, wylatywał z taką mocą, iż porywał za sobą człowieka całego, który mimowoli biegł za nim kilka kroków.



Tak rzucili dyski. One zasię pruły powietrze, warcząc w locie i brzęcząc jak

pszczoły, a gdy padły, ziemia pod nimi jęknęła. Xenoklesów i Pejsidorów dalej — Tisamenesów bliżej doleciał. Ów przeto stracił prawo do wieńca i musiał ustąpić ze wstydem i żalem, a tamci dwaj niebawem przystąpili do piątej, ostatniej próby, do zapasów.

Ferenice, siedzącej między gymnastami przy Hellanodikach, wzruszenie zatykało w gardle; serce tłukło się jej w piersiach, jak ptak w klatce. Przez cały czas nie spuszczała syna z oczu, żadnego ruchu jego nie straciła. Po



każdej przetrwanej próbie pentathlonu swobodniej oddychała, lecz teraz wiedziała, że musi odbyć ostateczną i najtrudniejszą.

Oni wyszedszy obaj na sam środek majdanu, stanęli naprzeciwko siebie, głowami naprzód pochyleni, z prawą nogą przygiętą w kolanie i do wyskoku podaną. Salpingi zagrzmiały. Jak dwa młode kozły, kiedy się bodą rogami, tak oni starli się ciemieniem o ciemię, a równocześnie jeden drugiego pochwycić usiłował rękoma za kark lub za barki. Ruchy następowały po sobie lekkie, zwinne, podobne raczej głaśnięciom niż walce. Było w tem jakieś czajenie się kocie.

Wreszcie Xenokles ułapił za kark Pejsidora i ciągnął go w dół co siły, a drugą ręką starał się poderwać go pod kolana. Pejsidoros oburącz oddzierał jego ramie od swej szyi, głową bił, targał się i szamotał długo, aż uwolnił się od żelaznej obręczy tego uścisku. Tamten odepchnięty potężnie, zatoczył się w tył, ale zaraz szalonym rozpędem rzucił się nań w skoku i prawem kolanem grzmotnął go w pierś a równocześnie rękoma pchnął go z góry w barki. Zachwiał się Pejsidoros pod takim naporem, ale nie runął.



I nagle zeskakującego porwał jak w kleszcze, ogarnął go w pasie spiżowymi ramiony i uniósł, tak iż Xenokles zawisł nogami nad ziemią. Bronił się: obie nogi oplótł koło bark Pejsidora, wyłamywał się wstecz, wił się jak wąż, zdzierał ze siebie rękoma oploty onych żylastych ramion, co mu lędźwie zgniatały, wpijały się w boki, uciskały brzuch. Zrozumiał, że się nie wyśliźnie z mocarnych objęć takiego przeciwnika, który widocznie chciał, pochyliwszy się, na ziemi go rozciągnąć i przywalić swoim ciężarem. Xenokles rozplótł czemprędzej nogi i zadarł je wstecz poza siebie,

chcąc podstawić pięty, gdy ów do ziemi go przyniży. Ale Pejsidoros, uwolniony z oplotu Xenoklesowych kolan i łydek, wyprostował się niespodziewanie, zakręcił nim nagle, głową go na dół odwrócił, i o ziemię cisnął. Xenokles nie obalił się jednak: na ręce tylko padł i na jedno kolano i niepokonany zrywał się już na nogi. Pejsidoros ubiedz go zdołał. Jak ryś z góry nań runął, przysiadł mu na krzyżach okrakiem, lewym swoim bokiem przywalił mu plecy i niby głaz parł go nieubłaganie do ziemi. Pod strasznem brzemieniem ugięło się i drugie kolano Xenoklesa, równocześnie zaś Pejsidoros uderzeniem pięści podbił mu prawy łokieć, podrywając mu tak podporę w ramieniu. Nie zdzierżył Xenokles i piersią padł na piasek.

Rumot, gwar, oklaski, wołania zagłuszyły dźwięk salping. Zwycięzca pomógł dźwignąć się pokonanemu. Radość promienna zalewała mu duszę, rozpierała pierś, biła z pięknego oblicza. Przez chwilę nie mógł uwierzyć, iż to jemu przypadło, jemu właśnie to zwycięstwo chlubne, ten tryumf rozgłośny, ta sława nieśmiertelna. Co teraz dzieje się w sercu matczynem! Jaka ją napełniać musi duma!

Szedł ku Hellanodikom, a na nią patrzał. Siedziała w pierwszym rzędzie, tuż obok nich, pomiędzy gymnastami, blada jak marmur i jak marmur nieruchoma. Oczy iskrzące, czarne, utopiła w nim z takim wyrazem szczęścia i miłości, że teraz dopiero pojął dlaczego tak pragnęła, choćby za cenę życia, być tutaj i oglądać tę chwilę.

Stanął przed Hellanodikami, a sędziwy Timoptolis uroczyście włożył mu do rąk palmę zwycięską, zadatek oliwnego wieńca w dniu jutrzejszym.

Rzesze uciszyły się; ich spojrzenia od zwycięzcy w pentathlonie zwróciły się ku szrankom, gdzie dwudziestu



biegaczy sposobiło się do zbrojnego wyścigu z tarczami (ὁπλιτοδρόμος), który miał zakończyć igrzyska.

Pejsidoros czekał tylko, by oczu ludzkich nie mieć na sobie. Otrzymawszy gałąź palmową, podbiegł ku matce i rzucił się jej w ramiona. Taki wybuch szczęścia i wdzięczności dla mistrza gymnasty nie rzadki bywał i nie mógł dziwić nikogo. Ferenike pochwyciła syna za szyję, całowała mu oczy, przytuliła głowę jego do piersi. Z nadmiaru szczęścia nie mogła się opamiętać: ta chwila jedna starczyła jej za wszystkie udręczenia, smutki i bóle żywota. Łzy w gardle ją dławiły: załkała w głos.

Pejsidoros usłyszawszy ten szloch niewieści otrętwiał z przerażenia. Chciał ją powstrzymać, opamiętać — było już za późno. Hellanodikowie, gymnaści, widzowie poblizcy, zdumieni porwali się na równe nogi.

— Słyszeliście?!

— Co to jest?

— To był szloch niewieści!

— Białogłowa w przebraniu gymnasty!...

— Pod sąd z nią!... Pod sąd!

Nad zgiełkiem tylu pomieszanych wykrzykników, które przeszły w groźny pomruk tłumu, górował donośny głos Timoptolisa:

— Tu, przed nas ją stawcie — zawołał uderzając berłem o ziemię.

Pejsidoros bezradnie patrzył na matkę wzrokiem, z którego wyzierała głucha rozpacz. Ferenike stała jak posąg, bez słowa, bez ruchu; twarz nawet jej nie drgnęła. Gymnaści, co bliżsi, poskoczyli ku niej, aby ją przemocą zawlec przed Hellanodików. Pejsidoros poruszył się, jak gdyby chciał matce przybiedz na obronę. Sama odsunęła ich ręką i pewnym krokiem podeszła ku Hellanodikom.

Tłumy z najdalszych krańców stadionu, na wieść o tem co się przydarzyło, zbiegały po darniowych stopniach i tłocząc się na majdanie, obstąpiły ją półkolem.

Timoptolis podniesioną dłonią przyciszył wrzawę.

— Zali niewiastą jesteś? — zapytał surowo. — Powiedz prawdę!

Głucha cisza zawisła nad niezliczonem rojowiskiem ludzkiem. Nadsłuchiwali odpowiedzi.

Ferenike zwiesiwszy głowę, milczała.

— Kto zacz jesteś!? nastawał Timoptolis.

Podniosła twarz i patrząc prosto w oczy starcowi, odrzekła:

— Jam jest Ferenike, Rhodyika...

Głos uwiązgł jej w gardle, nie mogła mówić dalej. Timoptolis przez chwilę mierzył ją wzrokiem przenikliwym.

— Wiesz-li co cię czeka?

— Wiem!

— Masz co do powiedzenia Sędziom Helleńskim?...

Wyprostowała się i mówiła spokojnym, pewnym głosem:

— Córką jestem Diagorasa, siostrą Akusilaosa i Damageta, żoną byłam Kallianaxa. Idźcie władni Hellanodikowie i wy narody Helleńskie, idźcie do Gaju świętego: posągi tam ujrzycie mojego rodzica i braci mojej, i małżonka, imiona ich i zwycięstwa odczytacie pod posągami wyryte. Niech wam oliwne drzewo pięknych wieńców powie, ile to razy gałązkami swemi wieńczyło mężów z mego rodowiska. I niech wam serca wasze własne rzeką, zalim śmierci winna, ja, matka, żem chciała na oczy moje oglądać męstwo i zwycięstwo synaczka mojego! Tak, wiedziałam, że mi za to zgon sądzony, jeśli się zdradzę, iżem białogłowa. Płaczem radości zdradziłam się przed wami i łkaniem duszy matczynej. Alem patrzyła, jak dziecko wnętrzności moich, syn mój od ojców nieodrodny, onych krwią i duchem godzien, zwyciężał i palmę z rąk waszych odbierał. Widziałam, o widziałam — umrę szczęśliwa!

Rzekła i długie milczenie zaległo. Hellanodikowie patrzyli po sobie żałośnie.

— Cóż wy na to Sędziowie Helleńscy! — odezwał się zmienionym głosem Timoptolis. — Ustawy nasze odwieczne i święte znacie. Jakaż wasza rada?

Ale oni, patrząc w ziemię smutnie, milczeli. Nikt nie chciał wymówić słów potępienia, nikt wbrew ustawom prastarym nie ważył się odezwać. Lud poglądał na nich, czekał i milczał.

Timoptolis brodę siwą targał wzruszony, wkońcu rzekł:

— Żaden z nas rady nijakiej nie najduje; obrani bowiem jesteśmy gwoli strzeżenia ustaw, a nie deptania. Srogie są, lecz nie myśmy je stanowili. Niechaj się od żalu

raczej serca nasze łamią, niźli prawa. Nie my, sam twój czyn cię potępia, Fereniko...

Urwał i nie śmiał dokończyć.

Tedy z pomiędzy tłumu wysunął się Pejsidoros. Blady był jak trup, wargi mu się trzęsły. Padł na kolana przed Hallanodikami.

— Wysłuchajcie mnie, wielcy Sędziowie Helleńscy, — wołał z płaczem, ręce ku nim podnosząc — wysłuchajcie mnie, zanim ją na śmierć podacie! Dam za nią i prawu i wam okup godny, dam za nią, czegoby żaden Hellen nie oddał za skarby króla perskiego, ani za berło faraonów: dam za nią prześwietny olympijski wian i chwałę moją dzisiaj dobytą. Zdeptała prawo — ja wzamian mojego się wyrzekam. Kto mocen karać, ułaskawiać też mocen. Pozwólcie nam odejść, błagam! Złożyłem u nóg waszych za nią, com jeno miał najdroższego w życiu. Nie chcę, nie żądam dla siebie już nic, dla niej tylko żebrzę litości, łaski!

— Łaski! Łaski! Litości! — powtórzyło głosem ogromnym trzydzieści tysięcy ludu.

Jako szumny wiatr, kiedy przez bór przeleci, tak niosło się przez tłumy wołanie ono:

— Litości! Łaski!

I Ferenike, dumna przed chwilą i nieugięta, położyła rękę na głowie klęczącego syna i w rozrzewnieniu szeptała:

— Litości nad nim! Litości!

Hellanodikowie jęli się po cichu naradzać pomiędzy sobą. I znów milczące oczekiwanie zawisło nad stadionem. Timoptolis kazał od szranków przynieść krater używany do losowania.

— Powstań — rzekł do Pejsidora — wieniec twój

i zwycięstwo przy tobie muszą pozostać. Nad tem, co uczynić z matką twoją, głosować będziemy gałkami.

To mówiąc, rękę do krateru włożył i gałkę weń wpuścił. Za nim poszli wszyscy Hellanodikowie. Cisza była taka, że słychać było brzęczenie gałek o dno glinianego naczynia. Wysypał je potem ną darniowe siedzenie: gałki były wszystkie białe.

— Bogom dzięki złóż! Wolna jesteś, odejdź! — rzekł poważnie do Fereniki. — Żyj szczęśliwa — dodał serdecznym głosem.

Pejsidoros w uniesieniu radosnem ręce jej całował. Szmer zadowolenia rozszedł się po tłumach i zmienił się w huczny okrzyk. Ona słowa nie mogąc powiedzieć, płakała cicho. Zaczem głęboko skłoniwszy się przed Sędziami Helleńskimi, odeszła. Syn wiódł ją za rękę. Ciżba rozstępowała się przed nimi, tłumne rzesze przeprowadzały ich do głównego wyjścia.

— Raduj się, szczęsna białogłowo!

— Ciesz się, ciesz, Fereniko!

— Raduj się długo jeszcze słońcem i takim synem!

Oni zaś oboje, trzymając się za ręce, szli poprzez majdan tyloma pozdrowieniami żegnani, a dusze ich łączyły się w uczuciu miłości wzajemnej i niewymownego szczęścia. Złotymi promieniami obzierało się za nimi słońce ku zachodowi zniżone, leciały za nimi, dopóki nie zniknęli w bramie stadionu, nawoływania, spojrzenia, serca wszystkich narodów Hellady.

VII.

Południe. Gaj święty z olśniewającą białością wszystkich świątyń swoich, rzeźb i kolumnad, z bladą zielenią swych oliw, topól i platanów, z połyskami złota i bronzu, z tłumem posągów i z jaśnieniem szat nieprzejrzanej rzeszy — tonął w blasku lipcowego dnia.

Skończyły się ofiary dziękczynne, stos na wielkim ołtarzu dogasa. Pod kolumnami, u wnijścia do świątyni Zeusa, Hellanodikowie w purpurze stanęli półkręgiem za drogocennym stołem ze złota i kości słoniowej. Wyrzeźbił go był najmisterniej i bóstw mnogich postaciami uświetnił Kolotes Paryjczyk. Na stole wieńce leżały, uwite z gałązek oliwnego drzewa, co rosło po drugiej stronie, za Zeusową świątnicą. Dzisiejszego ranka naciął ich złotym nożykiem chłopiec, który musi mieć oboje żyjących jeszcze rodziców a sam urodą jaśnieć. U stopni wiodących do świątyni, stoją rzędem olympionikowie, strojni w szaty najpiękniejsze. Na nich, na szczęśliwych zwycięzców, oczy tłumów pozierają z podziwem i zazdrością. Ich imiona, z mianem ojca i z nazwą rodzinnego miasta, wywołuje kolejno jeden z Hel-

lanodików, drugi w księgę je pisze ku wiecznej pamięci. Wywołany raźnym krokiem wstępuje na podwyższenie, a Timoptolis wkłada mu wieniec na skronie. Grzmią salpingi, lud okrzykami pozdrawia zwycięzcę, który siebie, swój ród i ojczyznę wsławił. Szczęśliwy! Posąg jego może stanąć w Altis, ojczysty gród powracającego przyjmie uroczyście, wolen od wszelkich danin, będzie miał prawo zasiadać do stołu w prytanejonie wśród mężów najzasłużeńszych miastu.

Gdy Pejsidoros brał wieniec, końca nie było wołaniom i oklaskom. Poczcił w nim lud krzepkie ciało i duszę piękną i męstwo jego macierzy.

Ta matka siedziała w tej chwili przed bramą Altis, w powłóczystej, niewieściej odzieży. Czekała na syna. On zaś, ledwie poczuł wieniec na czole, jął sobie zaraz drogi szukać przez ciżbę, tak spieszno było mu do niej.

Zastał ją pod murem, na ławce kamiennej w cieniu platanów. Przez gałęzie cedziła się jasność słoneczna i kładła się na fałdach jej szat, na murze i na murawie świetlanemi kółkami. Ona w zadumie dłonie splecione założyła na kolanie i patrzała przed siebie oczyma, co widziały raczej głąb jej własnej duszy, niż cały ten piękny weselny świat. Więc przybliżył się do niej cicho i na te białe, zaplecione ręce olympijski wieniec położył — matce.

KONIEC.

PRZYPISY

Str. 5.

— *...już od wielu tygodni przysposabiali się...*

»Le concurrent... devait se rendre à Elis pour y faire un stage réglementaire de trente jours, s'exercer chaque matin au gymnase...«

Ch. Diehl: *Excursions Archéologiques en Grèce* str. 229.

— *...odwieczny bowiem surowy zakaz...*

»Po drodze do Olympii... przychodzisz pod wysoką skałę: góra ta zowie się Typajon. Jest u Elejczyków prawem, niewiasty z niej strącać, gdyby się którą schwytało na igrzyskach olympijskich. Jednak żadnej na tem nie schwytano, tylko jednę Kallipatejrę; inni zowią ją Fereniką. Ubrała się ona zupełnie nakształt gymnasty i zaprowadziła do Olympii swego syna, by się tam o wieniec ubiegał. Gdy Pejsidoros zwyciężył, skoczyła Kallipatejra przez szranki, przyczem obnażyła się. Lecz chociaż się wydało, iż jest niewiastą, puścili ją bezkarnie przez cześć dla rodzica, braci i syna, gdyż im wszystkim przypadły były w udziale zwycięstwa olympijskie...«

Pausanias: V 6, 7.

Str. 7.

— *To nie Kupido, to Eros szalony...*

Przekład Jana Czubka z Alkmana, poety rodem z Sardes w Lydii. Żył około 670 r. przed Chr. Jako niewolnik dostał się do Sparty. Jest to najstarszy poeta miłosny.

— *Dziad mój po dwakroć w Olympii zwyciężał...*

»...posągi rhodyjskich współzawodników, mianowicie Diagorasa i jego rodu. Stoją oni rzędem i to w następującym porządku: Akusilaos... Dorieus... Damagetos... Ci są braćmi, a synami Diagorasa. Posąg Diagorasa uczynił Kallikles z Megary, syn Theokosmosa... Także wnukowie Diagorasa po córkach... dostąpili zwycięstw olympijskich, a to Eukles syn Kallianaxa i Kallipatejry, Diagorasowej córki — i Pejsidoros...; tego wprowadziła matka przebrana za nauczyciela gimnastyki na igrzyska olympijskie. Tenże Pejsidoros stoi w Altis obok ojca swej macierzy...«

Pausanias: VI 7, 1.

Str. 10.

— *...Tam palajstra... gymnasyon...*

Porównaj plan: Tabl. IV i V.

Str. 13.

— *...W Buleuterionie, czyli Radnicy, było mieszkanie dziewięci Hellanodików...*

»...Hellanodices ou juges des Hellènes; ces personnages, nommès pour chaque Olympiade etaient charges, de l'organisation de la fete, de la direction des jeux et du jugement des concours«.

Ch. Diehl: *Excursions Archéologiques* str. 227.

Str. 14.

— *...podpierali się wysokiemi berłami, na których siedziały pozłociste orły, ptaki Zeusowe...*

Żadne źródło nie wspomina o berłach w rękach Hellanodików. Wyposażeni w królewską niemal władzę i strojni w szaty purpurowe — en longues robes de pourpre — (Diehl str. 232), trudno przypuścić, by szli z gołemi rękoma. Ważyłem się przeto włożyć im do rąk długie skeptra, znamię władzy używane już przez władców Homeryckich w Iliadzie i Odyssei. A że Fejdias na berle Zeusa olympijskiego umie-

ścił orła, nie wahałem się przeto i na berłach Sędziów Helleńskich posadzić złote orły, na znak, iż urząd swój sprawują w imię Zeusa.

— *Dikon, syn Kallibrotosa, Syrakuzanin...*

Patrz Pausanias: V 3, 11.

— *Sostratos rodem Sykiończyk...*

Patrz Pausanias: V 4, 1.

— *Widzicie Alkajnetosa Theantowego z Lamprei...*

Patrz Pausanias: VI 7, 8.

— *Labax, Eufrona syn...*

Patrz Pausanias: VI 3, 4.

— *...mnogie poselstwa blizkich i dalekich ludów greckich...*

»Les villes envoyaient de sollennelles ambassades, des théories pompeuses aux vêtements éclatants de pourpre et d'or, qui rivalisaient entre elles d'eclat et de splendeur, et étalaient avec ostentation sur des voitures magnifiques les somptueux présents qu'elles apportaient au dieu...«

Ch. Diehl: *Excursions Archéologiques* str. 230.

Str. 15.

— *Apollonia osada Korkyrejczyków nad morzem Jońskiem... składali Zeusowi trzynaście spiżowych posągów... był to... Argejczyk, Lykios, Myronów syn.*

Patrz przypisek do str. 20.

Str. 16.

— *...poprzed Radnicę, tuż obok spiżowego Zeusa...*

»Skoro się od Buleuterionu idzie ku wielkiej świątyni, to ma się po lewicy posąg Zeusa, który jakoby kwieciem jest uwieńczon; w prawicy trzyma on piorun. Jest to dzieło Askarosa z Theb«.

Pausanias: V 24, 1.

— ...*w tryumfalną bramę od południowej strony Gaju świętego...*

»...das damalige Hauptthor der Altis müssen wir süd-östlich vom Zeustempel und nord-östlich vom Buleuterion annehmen... Hier beginnt auch der zum Eingang des Zeustempels führende Weg, der im Altertum mit den wichtigsten Weihgeschenken, Urkunden und Standbildern besetzt war und auch noch jetzt zahlreiche Basen der verschiedensten Art aufweist... Da seine Richtung, wenn sie nach Süden verlängert wird, der Vorhalle des Buleuterions genau parallel läuft, so liegt die Vermutung nahe, dass vor der Erbauung des vor dem Buleuterion befindlichen römischen Hofes, hier eine Strasse lag, welche aus dem Alpheiosthale kommend, an den Buleuterion vorüber zum Hauptthore der Altis führte und dann im Innern des Bezirkes zunächst zu dem Platz vor der Ostfront des Zeustempels, und weiter geradeaus zu dem grossen Aschenaltar des Zeus gerichtet war...«

Olympia: Topographie und Geschichte. Textband I, str. 72.
Dörpfeld: *Lageplan der antiken Bauwerke.*

Str. 17.

— ...*Był to podługowaty pagórek, uczyniony z kości zwęglonych...*

»Ołtarz Zeusa Olympijskiego jest prawie tak odległy od Pelopionu jak od świątyni Hery, leży jednak wysunięty naprzód poprzed obydwa. Niektórzy mówią, że założył go Herakles Idajski... Zbudowany jest z popiołu udźców zwierząt, które Zeusowi ofiarowano... Okrąg pierwszej terasy, którą zowią prothysis, wynosi sto dwadzieścia pięć stóp, obwód kopca ponad prothysis — trzydzieści dwie stóp. Wysokość całego ołtarza mierzy dwadzieścia dwie stóp. Jest zwyczajem zwierzęta ofiarować na dolnej terasie, czyli prothysis. Potem udźce wynoszą na górę, na szczyt ołtarza, i tam je palą. Kamienne stopnie z obu stron prowadzą na prothysis, a z prothysis na górną część ołtarza są schody z popiołu«.

Pausanias: V 13, 8—10.

Die von Pausanias überlieferten Umfangsmasse sind einerseits unvollständig, denn es fehlt das Höhenmass des Unterbaues, anderseits

unbrauchbar, weil an einer Stelle – wahrscheinlich aber in beiden Angaben – der Text verdorben ist... Das Gesamthöhenmass von 22 Fuss darf als gesichert gelten... Wenn man das Mass von 22 Fuss festhält, so hat man sich zu entscheiden, welche Höhe der Prothysis zu geben ist. Das Mass darf weder zu gross noch zu klein sein; nicht zu gross, weil dann das Auftreiben der Stiere nicht bloss schwieriger, sondern auch zeitraubender wird — und nicht zu klein, weil es darauf ankommt, dass der Schlachtungsakt von sehr vielen Teilnemern... gesehen werde. Ein Mass von etwas über Lebensgrösse erfüllt beide Forderungen und so wurde hier – da 22 olymp. Fusse 7.05 M. betragen – die Höhe der Prothysis auf 2 M. festgesetzt... Die Tiefe eines Schlachtplatzes auf mindestens 3 M. und der Durchmesser des Brandplatzes auf dem Altargipfel auf mindestens 5 M. bemessen werden muss, wenn ein ebenso sicherer wie rascher Betrieb erreicht werden soll.

Wählt man auf solchen Grundlagen für den Aschenkegel einen Neigungswinkel von 45 48°, so erhält man im letzteren Falle einen unteren Durchmesser von ca. 13·75 M. und folglich bei Einsetzung der Schlachtplatztiefe von 3 M. und, unter Festhaltung des gleichen Neigungswinkels für den steinernen Unterbau, einen unteren Durchmesser von 23·70 M. für die Prothysis. Es sind das Minimalmasse, die in der Wirklichkeit vielleicht noch etwas grösser gewesen sind...«

Olympia: Die Baudenkmäler. Textband II, str. 211–212.
Friedr. Adler: *Der grosse Altar des Zeus.*

— *...bierwiona białodrzewia...*

»Drzewa białej topoli, a nie żadnego innego, używają Elijczycy ofiarując Zeusowi... z tego powodu, że Herakles Idajski drzewo to z krainy Thesprockiej Grekom przyniósł«.

Pausanias: V 14, 2.

Str. 18.

— *...byków o jasnej maści...*

Cały następujący przebieg ofiar skreślony jest najściślej według źródeł starożytnych: *Iliada* I w. 458 i dalsze; *Odysseja* III w. 439 i dalsze; *Elektra* Euripidesa w. 792 i dalsze.

Str. 20.

— *...dzieła Lykiosa, wspaniały dar Apolloniatów...*

»Obok tak zwanego Hippodamejonu jest kamienne bathron, półkole, a na niem posągi: Zeus z Thetydą i Hemerą, które do Zeusa za synami swymi błagają. Ci znajdują się w pośrodku bathronu; przeciwnie Achilles i Memnon, w postawie już gotowej do boju, każdy na przeciwległym końcu bathronu. Stoją także, jedni naprzeciw drugich, po jednym barbarzyńcu i po jednym greku, mianowicie Odysseus naprzeciw Helenosa, obaj bowiem w obu wojskach głównie z powodu swej mądrości zażywali znaczenia. Naprzeciw Menelaja, z powodu zadawnionej nienawiści, Alexandros; naprzeciw Diomedesa — Ajnejas; naprzeciw Telemańskiemu Ajasowi — Deifobos. Dziełami są Lykiosa, Myronowego syna, a darem Apolloniatów z nad Jońskiego morza...«

Pausanias: V 22, 2.

Str. 21.

— *Były w nich mieszkania Hellanodików czusu igrzysk i składy cennych przyborów... W obszernej środkowej sali... bronzowy posąg Zeusa Przysiężnego.*

»Ausserdem bin ich jetzt, im Gegensatz zu meiner früheren Ansicht, davon überzeugt, dass der Mittelbau, der Sitzungssaal der Bule gewesen ist, und dass die beiden anderen Bauwerke als Verwaltungsräume gedient haben...«

Olympia: Die Baudenkmäler. Textband II, str. 77.
Dörpfeld: *Das Buleuterion.*

»...Ten w Radnicy, jest wśród wszystkich posągów Zeusa owym właśnie, który głównie w tym celu zdziałano, by nieprawych ludzi przerażał. Ma on przydomek Horkiosa i w ręku dzierży piorun. Przed nim muszą atleci... przysięgać, że na siebie nie ściągną żadnego przewinienia przeciwko igrzyskom olympijskim...«

Pausanias: V 24, 9.

— *...Timoptolis...*

Jako starszego między Hellanodikami wprowadziłem Timoptolisa, syna Lampisowego, Elijczyka rodem, o którym u Pausaniasa (VI 15, 7) jest wzmianka, iż miał posąg w Olympii, choć nie powiedziano tam, iżby zwyciężył był na igrzyskach.

Str. 23.

— *W pośrodku półkolistego cokołu stał wspaniały Zeus...*

Patrz wyżej przypis do str. 20.

Str. 24.

— *Starszy mąż krępy i zwalisty mógł liczyć z górą lat czterdzieści.*

Sokrates urodzony r. 469 przed Chr., przeto w r. 428 skończył lat 41.

— *Ledwie zachodził w lata męskie, dwudziestoletni, rosły i kształtny...*

Alkibiades urodzony około 450 r. przed Chr., ma w r. 428 lat około 20.

Str. 25.

— *Twoje Charyty w Propylajach u wstępu na Grojec atheński.*

»Przy wejściu do grodu — Hermesa, którego Propylajosem zowią, Charyty miał wyrzeźbić Sokrates, syn Sofroniska«.

Pausanias: I 22, 8.

«Non postferuntur et Charites in propylo Atheniensium, quas Socrates fecit...«

Plinius N. H. 36, 32.

— *Sepleniąc z lekka...*

Τῇ δὲ φωνῇ καὶ τὴν τραυλότητα ἐμπρέψαι λέγουσι καὶ τῷ λάλῳ πιθανότητα παρασχεῖν χάριν ἐπιτελοῦσαν.

Plutarch: *Alkibiades* 1.

— *Czy ty Lykiosie...*

Odtąd cała rozmowa między Lykiosem a Sokratesem jest żywcem przełożona z Xenofonta *Pamiętników o Sokratesie* III 10, tylko tam rzeźbiarz nazywa się Kliton. Ustęp z Xenofonta kończy się słowami: »Rzeźbiarz musi przeto wyrażać kształtami wszelkie wrażenia duszy«.

Str. 26.

— *Kształciłżeś ty i duszę swoją zarówno z ciałem?*

To pytanie Sokratesa i odpowiedź Pejsidora porównaj u Platona *(Charmides)*, gdy pyta: »Czy sądzisz, że dosyć masz stateczności, czy też, że brak ci jej jeszcze?« — i odpowiedź Charmidesa.

Str. 27.

— *Nigdy z Athen jako żywo nie wyruszałem się nogą...*

»...a ty i na uroczystości nigdy nie wychodziłeś z miasta, wyjąwszy raz do Isthmu, ani dokąd indziej, chyba na wyprawę wojenną i żadnej nigdy nie podjąłeś podróży, jak inni ludzie i nigdy nie wzięła cię ochota poznać inne państwa i prawa«.

Plato: *Kriton*. Przekł. St. Siedleckiego.

Pomimo tak bezwarunkowego świadectwa o tem, że Sokrates nie wyruszał się nigdy z Athen, wprowadziłem go na igrzyska Olympijskie, aby w opowieści tej nie brakło najbardziej charakterystycznej ówczesnej postaci. Równocześnie jednak zaznaczam przez usta samego Sokratesa, iż Athen nie opuszczał nigdy.

Str. 28.

— *...popisy pachołąt w biegach, zapasach i walce na pięści...*

»Dopiero w 145 olympiadzie wprowadzono pankration chłopców«.

Pausanias: V 8, 11.

Str. 29.

— ...*Trzeci mąż jakowyś od Sokratesa starszy o cały lat dziesiątek...*

Euripides urodzony 480 r. przed Chr. liczy w r. 428 lat 52.

Str. 30.

— ...*zgorzkniały, zamknięty w sobie, ludzi nie cierpi a najchętniej z księgami swemi przestaje...*

»Σκυθρωπὸς δὲ καὶ σύννους καὶ αὐστηρὸς ἐφαίνετο καὶ μισογέλως καὶ μισογύνης, καθὰ καὶ Ἀριστοφάνης αὐτὸν αἰτιᾶται«.

Vita Euripidis.

— *Czy niosłeś może co ciężkiego?*

Cała ta rozmowa Sokratesa z Euripidesem zapożyczona z Xenofonta *Pamiętników o Sokratesie* III 13, lecz tam Sokrates rozprawia się z rozmowcą bezimiennym.

Str. 31.

— *Niedawno zaszedł mnie w domu...*

Podobnie ta anegdota z Xenofonta *Pamiętników* z tego samego rozdziału, zastosowana do Alkibiadesa.

— ...*Czasami gdy z nim jestem...*

Porównaj: Plato: *Symposion* 213 C. D.

— ...*świątyni Zeusa, którą budownik Libo z Elidy przed trzydziestu laty wykończył był ostatecznie...*

»Budownikiem jej był Libon, miejscowy...«

Pausanias: V 10, 3.

»Bei der Feier der 81 Ol., also im Jahre 456, ist der Tempel, wie K. Purgold darlegt, vermutlich fertig gewesen.

Olympia: Die Baudenkmäler. Textband II, str. 20.
Dörpfeld: *Der Zeustempel.*

Str. 32.

— ...*Te zasię igrzysku były dopiero drugiemi z rzędu od chwili, gdy gotowe arcydzieło stanęło w całym blasku i przepychu...*

Chronologia Zeusa olympijskiego nie jest ostatecznie ustaloną. Löschke: *Phidias Tod und die Chronologie des Olympischen Zeus* oznacza rok 448—447 jako datę odsłonięcia dzieła. Zgodnie z nim idzie Maxime Collignon, określając 83 Ol. czyli rok 448. Natomiast Preller, którego zdanie najbardziej jest rozpowszechnione, pracę nad Zeusem Olympijskim przypisuje ostatnim latom życia Feidiasa, między 431, jako rokiem zgonu, a 438, jako datą ukończenia ateńskiej Parthenos. Jeśli zgodnie z Prellerem przyjmiemy, że artysta skończył swe dzieło na krótki tylko czas przed śmiercią, to pierwsze igrzyska, które oglądały Zeusa ukończonego zupełnie, przypadną na Olympiadę 87 (rok 432), a »drugie z rzędu« na 88 Ol. czyli na rok 428.

— ...*starzec przeszło sześćdziesięcioletni...*

Herodot ur. 490—480 przed Chr. liczy w 428 r. około 60 lat wieku.

ἐνίσταται οὖν Ὀλύμπια τὰ μεγάλα καὶ ὁ Ἡρόδοτος... παρελθὼν ἐς τὸν ὀπισθόδομον οὐ θεατὴν ἀλλ' ἀγωνιστὴν παρεῖχεν ἑαυτὸν Ὀλυμπίων, ᾄδων τὰς ἱστορίας καὶ κηλῶν παρόντας...

Lukian *Herodot. s. Aet.* § 1, 2. Tom IV. p. 116 ed. Bipont.

Str. 34.

— ...*Tuż obok rosło stare drzewo dzikiej oliwy, z której tną gałęzie na wieńce olympijskie...*

»Prawie nawprost opisthodomu (wielkiej świątyni) rośnie drzewo oliwne, zowie się zaś Kallistephanos, a jest zwyczajem, tym, którzy zwycięstwa olympijskie odnoszą, wieńce zeń dawać«.

Pausanias: V 15, 3.

— ...*Xerxes wysłał jednego jeźdźca...*

Opowiadanie wyjęte z Herodota VII 208—228, znacznie skrócone.

Str. 36.

— ...*pylagorowie na zebraniu amfiktyonów...*

Amfiktyonia, bractwo ludów sąsiadujących z sobą, zawiązane bez względu na różnice szczepowe w celach wspólnego obchodzenia uroczystości religijnych. Najsłynniejsza amfiktyonia była Delficko-Thermopylska. Przedstawiciele miast związkowych zwali się pylagorami. Zgromadzenia ich stały się *commune Graeciae consilium* (Cicero. De inv. 2, 23, 69) i miały wielkie znaczenie w sprawach publicznych.

Str. 39.

— *Przechodniu powiedz Sparcie...*

Epitaf przekładu Jana Czubka... patrz *Lirycy Greccy* str. 89.

Str. 40.

— ...*jakżebym ja pragnął tak pisać jak on...*

...ὥς ποτε τοῦ Ἡροδότου τὰς ἰδίας ἱστορίας ἐπιδεικνυμένου παρὼν τῇ ἀκροάσει Θουκυδίδης καὶ ἀκούσας ἐδάκρυσεν.

Marcellinus: *Vita Thucidid.* § 54.

Str. 41.

— ...*uważasz dzieje za wynik ludzkich czynów...*

Thucydide pénètre jusqu' à l'âme ou, pour mieux dire, jusqu' à cette région de l'âme où se prépare l'action politique, la seule dont il s'occupe; ce qu'il cherche, c'est le principe essentiel de cette action,e le ressort qui fait tout mouvoir.

Thucydide ed. Alfred Croiset.
Notice sur Thucydide p. 52.

Str. 42.

— ...*krew tracka...*

Thukydides (ur. około 464 r. przed Chr.) był synem Olorosa, Thraka, który otrzymał był obywatelstwo ateńskie.

— *...naprost świątyni stojąca... postać olbrzymiego Zeusa, który trzykroć przewyższał miarę ludzką.*

»Nieopodal od daru Hyblejczyków jest spiżowy cokół, a na nim Zeus. Wielkość jego liczą na ośmnaście stóp w przybliżeniu«.

Pausanias: V 23, 7.

Uszkodzony w tekscie Pausaniasa napis na podstawie głosi, że ogromny ten posąg był darem Hejtorejczyków, a dziełem Aristona i Telesiasa. 18 stóp olympijskich wynosi 5.76 m., czyli więcej, niźli trzechkrotną miarę wzrostu ludzkiego.

— *...Bogini Zwycięstwa, cudne dzieło Pajoniosa Mendejczyka.*

»Doryjscy Meseńczycy, którzy niegdyś od Atheńczyków Naupaktos otrzymali byli, ofiarowali do Olympii Nike na słupie. Jest ona dziełem Pajoniosa z Mende, a postawiono ją z powodu zwycięstwa nad mężami wrogimi — jak mniemam — wtedy, gdy wojowali przeciw Akarnanom i Ojniadom. Messeńczycy sami jednak powiadają, iż dar ów złożyli z powodu zwycięstwa, które wraz z Atheńczykami na wyspie Sfakteryi odnieśli, tylko nazwy nieprzyjaciół, z obawy przed Lakedajmonami, w napisie nie wyrazili; do strachu przed Akarnanami i Ojniadami nie mieli przyczyny«.

Pausanias: V 26, 1.

Zgodnie z tym zapiskiem odkryto w Olympii w r. 1875 posąg Bogini Zwycięstwa i to nieomal na miejscu przez Pausaniusa wskazanem. Wysoka na blizko 9 m. podstawa zachowała się również i nosi napis:

Μεσσάνιοι καὶ Ναυπάκτιοι ἀνέθεν Διὶ
Ὀλυμπίῳ δεκάταν ἀπὸ τῶν πολεμίων
Παιώνιος ἐποίησε Μενδαῖος
καὶ τἀκρωτήρια ποιῶν ἐπὶ τὸν ναὸν ἐνίκα.

Obecnie skrzydlata Nike Pajoniosa jest nieocenionym klejnotem muzeum olympijskiego, choć uszkodzona znacznie. Rekonstrukcyi naukowej, którą podajemy na tabl. IX, dokonał rzeźbiarz O. Rühm. Twarz i znaczną część głowy brakującą w oryginale uzupełnił on na

podstawie głowy odkrytej przez Walthera Amelunga w rzymskim zbiorze Hertzów.

»Die nächsten Schlüsse, welche sich aus dieser wichtigen Ergenzung für die geschichtliche Einrichtung der Statue ergeben, hat Amelung folgendermassen gezogen: man habe bisher bei der Datierung des Werkes zwischen 450 und 420 geschwankt; es könne nach seinen Beobachtungen nicht zweifelhaft sein, dass nur der erste von beiden Ansätzen möglich sei... Die meisten werden freilich mit den Herausgebern der Inschrift der Meinung sein, dass die Entstehung des Denkmals unmittelbar nach dem Nikiasfrieden (421) durch die Erwägung der geschichtlichen Ereignisse jener Zeit hinlenglich gesichert sei. Auch wir schliessen uns dieser Meinung an«.

Olympia: Bildwerke. Textband III, str. 191.
Georg Treu.

Jeśli przeciw twierdzeniu Amelunga słuszność jest po stronie Treua i tych którzy się opierają na danych historycznych, to Pajonios, zgodnie z zapiskiem Pausaniasa, wykonać musiał dzieło dopiero po bitwie pod Sfakterią czyli po r. 425. Wprowadzając w opowiadaniu mojem ten posąg, dopuściłem się tedy świadomie dowolności chronologicznej. Kierowały mną jednak względy artystyczne.

Str. 43.

— ...*na półkolistej podstawie stali tam rzędem odlani ze spiżu wojownicy Achajscy...*

»Są tu także — jako wspólny dar od Achajskiego szczepu — ci, którzy na wyzwanie Hektora w pojedynkę, zdają się na rozstrzygnięcie losem. Stoją oni w pobliżu wielkiej świątyni zbrojni w oszczepy i tarcze; naprzeciwko, na osobnym cokole jest przedstawiony Nestor, jak bierkę każdego z nich do hełmu wrzucił. Z onych ośmiu mężów, losujących o bój z Hektorem — dziewiątego bowiem, posąg Odysseja, Nero do Rzymu uprowadził — z tych ośmiu tedy, Agamemnonowi tylko jest imię przypisane i to napis biegnie od prawej ku lewej. Ten zaś, który na puklerzu koguta ma jako godło, jest Idomeneus, potomek Minosa. Na cokole zasię jest napis:

Te posągi Zeusowi złożyli synowie Achai
Z Pelopsa wiodący swój ród, co synem Tantala był sam.

Tak tam jest napisano; lecz kto był rzeźbiarzem, to jest na tarczy Idomeneja:

Wiele dzieł — i to także — mądry utworzył Onatas,
Mikon wzdy spłodził go był, gdzie Ajginecki jest kraj.

Pausanias: V 25, 7—10.

»Ferner ist zu beachten, dass... das grosse Weihgeschenk der Achaier sicher vor der Ostfront des Zeustempels, nicht weit von der alten Südmauer gestanden hat; dort ist nicht nur die grosse halbrunde Basis für die homerischen Helden, sondern gegenüber auch die kleine Basis für den Nestor erhalten...«

Olympia: Topographie und Geschichte. Textband I, str. 87.
W. Dörpfeld: *Lageplan der antiken Bauwerke.*

— ...*Zaczem ich dziewięci wstanie*...

Iliada VII w. 37 i następne.

Str. 44.

— ...*Naprzód Sparty młódź sierdzista*...

Pobudka Tirtajosa, który żył w czasie drugiej wojny Messeńskiej (645–628). Podanie mieni go kulawym bakałarzem atheńskim. Jakby na urągowisko mieli go Atheńczycy posłać Spartanom, gdy ci za radą wyroczni wyprawili poselstwo do Athen z prośbą o wodza. Pieśniami swemi budził w lakońskiem wojsku zapał nieopisany i został na zawsze ulubionym poetą narodowym. Pobudka powyższa podana jest w przekładzie J. Czubka. Patrz: *Lirycy Greccy* str. 13.

— ...*ekechejria*...

»Diskos Ifitosa zawiera wypisany Pokój Boży, który Elijczycy ogłaszają podczas igrzysk olympijskich. Nie jest on wypisany w prostym kierunku, tylko litery biegną wokoło dyska».

Pausanias: V 20, 1.

Str. 46.

— ...*Stadion olympijskie*...

»Das Stadion bildet ein Rechteck von 212¾ M. Länge, gemessen von Mitte zu Mitte der die Bahn einfassenden Wasserrinnen. Die Breite ist etwas verschieden und misst an der Westseite, der Wasserleitung entlang, ebenfalls von Mitte zu Mitte der Rinnen gerechnet, 28.60 M., im Osten an der gleichen Stelle aber 29.70... Ausser der Wasserleitung zog sich rings um die Bahn eine 40 cm. breite Bordschwelle aus Poros... Die Entfernung beider Ablaufschwellen von Mitte zu Mitte... ergab ein Mass von rund 192¼ M., das in den früheren Veröffentlichungen auf 192.27 M. = 600 ol. Fuss bestimmt worden ist... Die Ablaufvorrichtungen... bestehen aus einer Reihe von Schwellen aus weissem Kalkstein, mit eingearbeiteten Rillen und Einsatzlöchern auf der Oberfläche... Möglich, dass die Rillen als Marke für die Fussstellung der in einer Reihe antretenden Wettläufer, nebenbei auch zu Verhinderung des Ausgleitens... gedient haben. Die Löcher, welche Zapfenlöcher für die Befestigung von Holzpfosten gewesen sein müssen, teilen auf den Schwellen eine Reihe von Ständen ab. Auf den östlichen Schwellen, die noch sämtlich erhalten sind, zählt man deren einundzwanzig... Abweichend hiervon zeigt die westliche Schwellenreihe in der Mitte ein Loch für einen Pfahl, wobei dann nach beiden Seiten hin, noch je zehn Stände zu ergänzen sein würden, was im Ganzen zwanzig ergiebt«.

Olympia: Die Baudenkmäler. Textband II, str. 63—65.
R. Borrmann: *Das Stadion.*

Str. 47.

— ...*igrzyska w tym drugim dniu miały się rozpocząć biegami, potem odbędzie się walka na pięści, dalej zapasy, a na ostatku pankration*...

»C'etait d'abord la course... ensuite on appelait les lutteurs dans l'arène... le pancrace terminait les exercices de la journée...«

Diehl: *Excursions Archéol.* str. 233—236.

— *Xenokles rodem z Majnalos w Arkadyi*...

Pausanias: VI 9, 2.

Str. 48.

— *...mężczyzna barczysty... łysy... przy wytwornie trefionym rudym zaroście...*

Aristofanes: *Rycerze* pass.

— *...Lysiklesie...*

Lysikles, atheński handlarz bydła, potem mowca i demagog, wzmiankowany u Plutarcha: *Perikles* 24 i u Thukydidesa III 19.

— *...by ryby dla siebie w niej łowić. Kleon się zowie Kleajnetów syn...*

»...człowiek nader niesfornego usposobienia, u ludu zaś wówczas niezmiernie wiele miał wpływu«.

Thukydides III 36.

W następnych rozdziałach 37—41 daje Thukydides mowę Kleona, w której go wybornie charakteryzuje jako warchoła, krzykacza i szowinistę. Zjadliwą jego karykaturę kreśli Aristofanes w *Rycerzach*, gdzie go wręcz nazywa »dobra publicznego złodziejem«. Zginął w przegranej bitwie pod Amfipolis, w której sam dowodził r. 422.

Str. 49.

— *Aristofanes.*

Urodzony około r. 452 ma w r. 428 lat 24. Dopiero w roku następnym wystąpił z pierwszą swą komedyą (zaginioną) Δαιταλῆς; w 426 pojawiają się na scenie jego Βαβυλώνιοι. Obie te komedye grane były pod cudzem nazwiskiem, autor nie miał bowiem jeszcze lat przepisanych prawem do wystawiania dzieł dramatycznych. Wszystko, co włożyłem w usta Aristofanesa, odpowiada najściślej poglądom na rzeczy i sądom o ludziach, które wypowiedział sam w komedyach dotąd zachowanych.

— *...Synem jestem Kallianaxa...*

Porównaj przypis do str. 7.

— ...*Którego Pindaros w jednej ze swoich olympionik wysławia...*

VII Oda olympijska Pindara poświęcona jest Diagorasowi, macierzystemu dziadowi Pejsidora.

— ...*iż dwaj synowie, jednego dnia wieńce w Olympii odniósszy...*

Opowiadają, że Diagoras z synami swymi Akusilaosem i Damagetem do Olympii przybył; kiedy młodzieńcy zwyciężyli, wśród zgromadzenia obnosili ojca, którego Hellenowie kwiatami zasypali i z przyczyny synów szczęśliwym być mienili.

Pausanias: VI 7, 3

— .. *Nikiasa Nikaretowego...*

Charakterystyka Nikiasa oparta częścią na *Rycerzach* Aristofanesa częścią na Thukydidesie i Plutarchu.

Str. 50.

— *Hipponikos Kalliasów.*

Ojciec jego Kallias, u Plutarcha (*Aristejdes* 25) wspomniany jako największy swego czasu bogacz w Athenach. Miał skarby niesłychane znaleźć, na które go pewien Pers naprowadził. Hipponikos pomnożył majątki ojcowskie. Żona jego, opuściwszy go, wyszła za Periklesa. Córkę Hipparetę wydał za Alkibiadesa — patrz niżej przypis do str. 77.— Syn Kallias strwonił całą fortunę i żył w biedzie. Posłował od Athen do Sparty w r. 372. Xenofon, *Hellenika* II 3, 4.

— ...*ten cudak młodzież bałamuci...*

Porównaj Aristofanesa *Chmury* passim.

— ...*to poezyi tragicznej psowacz...*

Porównaj Aristofanesa *Żaby* passim.

Str. 51.

— *...wszyscy porwali się na równe nogi...*

Themistokles i Filopojmen w taki sposób uczczeni byli w Olympii przez ludy greckie... To nasunęło mi pomysł powitania urządzonego Sofoklesowi. Bez takiego wybuchu czci i uwielbienia dla jakiejś wielkiej osobistości, obraz życia i igrzysk w Olympii byłby niezupełny. Podczas wojny peloponneskiej takie uczczenie męża stanu czy wojownika byłoby niemożliwe wobec wzajemnej niechęci różnych ludów greckich. Wybrałem tedy Sofoklesa, który w całej Helladzie zażywał niemałej sławy i mógł być — choć w rzeczywistości nigdy może nie był — tak powitany na igrzyskach.

— *...siedmdziesięcioletniego efeba...*

Sofokles urodzony w r. 497 liczy w r. 428 lat 69.

Str. 52.

— ***...i wieńcem z kwiecia szafranów we włosach, kapłanka Demetry, jedyna niewiasta, której prawo dozwalało wstępu na igrzyska.***

»Na tym ołtarzu siedzi jedyna kobieta i przygląda się igrzyskom Olympijskim, mianowicie kapłanka Demetry Chamine; jest to godność, którą Elijczycy raz tej, raz innej niewieście nadają«.

Pausanias: VI 20, 9.

Szafran i narcyz były kwiatami poświęconymi Demetrze i Korze.

Sofokles: *Ojdip. Kolon.* w. 683 i nast.

Str. 53.

— *...na południowym nasypie...*

»Jeśli się z tego miejsca, gdzie Hellanodikowie zasiadają, przekroczy stadion, to jest tam miejsce przeznaczone do wyścigów konnych«.

Pausanias ibid.

Z położenia (porównaj plan) wynika, że Hellanodików miejsca były w południowej stronie stadionu.

Str. 54.

— ...*Alkajnetos*...

Porównaj przypis do str. 14.

— ...*Arkesilaos Lakedajmończyk.*

Pausanias: VI 20, 1.

— ...*Theognet z Ajginy.*

Pausanias: VI 19, 1.

Str. 56.

— ...*dwadzieścia cztery razy*...

A. Baumeister: *Denkmäler des klass. Alterthums* str. 2111.

Według innych — Diehl: *Excursions Archéol.* str. 233 — dwanaście razy. Pod tym względem bieg długi przedstawia nierozwiązaną jeszcze wątpliwość.

— ...*w przeciwieństwie do poprzednich wyścigów*...

A. Baumeister: *Denkmäler* str. 2111.

Str. 57.

— ...*walka na pięści*...

Diehl: *Excursions Archéol.* str. 235.
A. Baumeister: *Denkmäler* str. 523.

— ...*nie stawali do niej Spartanie*...

A. Baumeister: *Denkmäler* str. 525.

Str. 58.

— *Damoxenes*...

Pausanias: VIII 40, 3—5.

— *»na środek boiska...«*

Odysseja, przekł. L. Siemieńskiego.

— *Labax Eufronów.*

Patrz przypis do str. 10.

— *Glaukos.*

Pausanias: V 10, 1—4.

Str. 60.

— *...nie otrzymawszy ani jednego ciosu...*

»La suprême élégance consistait à vaincre sans avoir reçu un seul coup; bien plus, à n'en porter aucun, mais à fatiguer si bien l'adversaire qu'il dût épuisé, renoncer à la lutte«.

Ch. Diehl: *Excursions Archéol.* str. 236.

Str. 63.

— *Pyszne rzeźby Pajoniosa Mendejczyka.*

Pausanias: V 10, 8.

Mimo tego świadectwa nowsi badacze zgodnie odmawiają Pajoniosowi autorstwa posągów we wschodnim tympanonie świątyni Zeusowej. Ponieważ jednak pochodzenie tego dzieła jest kwestyą sporną i do dzisiaj nierozstrzygniętą, przeto w opowiadaniu mojem poszedłem za Pausaniasem.

Str. 65.

— *...ośmkroć przerastał miarę ludzką...*

W opisie Zeusa Olympijskiego służył mi za podstawę Pausanias (V 40), Strabo VIII 352 i *Olympia: Die Baudenkmäler.* Textband II. Dörpfeld: *Zeustempel* str. 13—16.

Str. 67.

— *...dworzec Ojnomaosa...*

Pausanias: V 20, 6.

— ...*Portyk Agnaptosa*...

Pausanias: V 15, 6.

Str. 68.

— ...*Klacz Fejdolosa Koryntyanina*...

Pausanias: VI 13, 10.

Str. 69.

— ...*szranki owe tak dziwnie postawione*...

Pausanias: VI 20, 13.

— ...*zowie się »Końskim Popłochem«*.

Pausanias: VI 20, 15—18.

Str. 71.

— ...*orła pozłocistego*... *posrebrzanego delfina*...

Pausanias: VI 20, 12.

— ...*Polypoithesa Lakedajmończyka*...

Pausanias: VI 16, 6.

— ...*Kleosthenas z Epidamnos*...

Pausanias: VI 10, 6.

— ...*Alkibiadesa*...

Αἱ δ' ἱπποτροφίαι περιβόητοι μὲν ἐγένοντο καὶ τῷ πλήθει τῶν ἁρμάτων· ἑπτὰ γὰρ ἄλλος οὐδεὶς καθῆκεν Ὀλυμπίασιν ἰδιώτης οὐδὲ βασιλεύς, μόνος δὲ ἐκεῖνος.

Plutarch: *Alkibiades* 11.

— ...*Theochrestos z Kyrenei*...

Pausanias: V 12, 7.

Str. 74.

— ...*i wszystkich społem na ucztę zapraszam*...

Ch. Diehl: *Excursions Archéol.* str. 241.

Str. 77.

— ...*by ci wyswatał córkę swoją Hipparetę*...

Istotnie Alkibiades poślubił ją wkrótce potem.

Plutarch: *Alkibiades* 8; Isokrat. XVI, 45.

— *Prastarego chramu Hery*...

»Bei den Eleern ging die Sage (Pausanias: V 16, 1), dass die Skilluntier den Tempel erbaut hätten, ungefähr acht Jahre nachdem Oxylos die Herrschaft über Elis erworben. Nach dieser Angabe würde die Erbauung des Tempels... etwa ins Jahr 1096 fallen... Weder der Grundriss noch die Technik des Heraion berechtigen uns, jene von Pausanias überlieferte Sage ohne Weiteres zu verwerfen... Mehrere der hölzernen Säulen sind schon im VI, einige wahrscheinlich sogar schon im VII Jahrhundert baufällig gewesen und durch Steinsäulen ersetzt worden; andere haben noch Jahrhunderte lang am Tempel gestanden, bis auch sie ausgewechselt werden mussten und eine finden wir sogar zu Pausanias' Zeit noch als Gebälkträger im Opisthodom... Aus der allmäligen Ersetzung der Holzsäulen dürfen wir daher schliessen, dass der Tempel mit den Holzsäulen etwa drei bis vier Jahrhunderte gestanden hat, bis die ersten Säulen ausgewechselt wurden. Er muss also etwa im X oder XI Jahrhundert erbaut sein.

Olympia: Baudenkmäler. Textband II, str. 35—36.
Dörpfeld: *Das Heraion.*

— ...*wielki popielisty ołtarz na grubem podmurowaniu*...

Porównaj plan: Tabl. IV i V.

— ...*ozdoby z wypalanej gliny, czarno i czerwono po staroświecku malowane*...

Olympia: Baudenkmäler. Textband II, str. 30.
Dörpfeld: *Das Heraion.*

Str. 78.

— ...*Zanes*...

Pausanias: V 21, 2.

Str. 79.

— ...*długiem wązkiem przejściem, niby korytarzem odkrytym*...

Porównaj plan: Tabl. IV i V.

Olympia: Baudenkmäler. Texband II, str. 66 68.

R. Borrman: *Das Stadion.*

— ...*połogie podwyższenie z drzewa*...

»Les concurrents montaient sur un tramplin élastique et prenaient leur élan en balançant de lourds haltères«.

Ch. Diehl: *Excursions Archéol.* str. 239.

— ...*Pythokritos, syn Kalliników*...

Pausanias: VI 13, 10.

Str. 80.

— ...*ujął swój oszczep grotem na dół*...

A. Baumeister: *Denkmäler des klass. Alterthums* str. 2089.

Str. 81.

— ...*Kleoretos Elijczyk*...

Pausanias: VI 16, 9.

Str. 83.

— ...*Trzy kręgi ciężkie spiżowe*...

»W tym skarbcu (Sykiończyków) przechowują trzy dyski, które do igrzysk w pentathlonie przynoszą«.

Pausanias: VI 19, 4.

»Die Disken für Männer scheinen, nach den Abbildungen zu schliessen, ungefähr 30 cm. im Durchmesser zu haben; der im Berliner Museum aufbewahrte Bronzediskus hat nur 20 cm. Durchmesser«.

A. Baumeister: *Denkmäler des klass. Alterthums* str. 458.

— »...le musée de Berlin conserve... un de ces palets dont le diamètre est de 0·21 et le poids de 2 kilogrammes«.

Ch. Diehl: *Excursions Archéol.* str. 239.

Str. 87.

— *...do zbrojnego wyścigu z tarczami...*

»C'était une sorte de défilé militaire qui deux fois parcourait la longuer du stade; plus tard il n'eurent plus que le bouclier. C'est dans cet appareil qu'est représenté le statue du Louvre connue sous le nom de Gladiateur Borghèse et dans laquelle il faut reconnaitre un hoplitodrome vainque

Ch. Diehl: *Excursions Archéol.* str. 240.

Str. 92.

— *...za drogocennym stołem ze złota i kości słoniowej...*

»Stół jest z kości słoniowej i ze złota, a dziełem jest Kolotesa. Kolotes miał z Heraklei pochodzić... (tekst zepsuty: widocznie był tu opis stołu z wymienieniem bóstw na nim wyrzeźbionych)... i Hera i Zeus i Matka bogów, Hermes i Apollo z Artemidą jest przedstawiony, z tyłu zaś jest przygotowanie do igrzysk. Z obu stron bocznych, na jednej Asklepios, a z córek Asklepiosa Hygieja, dalej Ares, a obok niego Agon — na drugiej jest Pluto i Dyonisos, Persefona i nimfy, a jedna z nich trzyma piłkę. Co się tyczy klucza — klucz bowiem Pluto dzierży — to mówią, że tak zwany Hades jest przez Plutona zamknięty i że nikt zeń napowrót nie wychodzi«.

Pausanias: V 20, 2—3.

— ...*naciął ich*...

G. F. Schömann: *Griech. Alterthümer* II², str. 61.

Str. 93.

— ...*w księgę je pisze*...

...τὰ Ἠλείων ἐς τοὺς ὀλυμπιονίκας γράμματα...

Pausanias: V 21, 9.



SPIS RYCIN.

SPIS RZECZY.

TEGOŻ AUTORA:

Poezye. Z rysunkami St. Wyspiańskiego. Gebethner i Wolff. Warszawa 1899. Wydanie I (wyczerpane).

Zaczarowane koło. Baśń dramatyczna w 5 aktach. Gebethner i Wolff. Warszawa 1900. Wydanie I (wyczerpane).

Poezye. Ozdobione przez St. Wyspiańskiego kolorową okładką, rysunkami i portretem autora. D. E. Friedlein. Kraków 1901. Wydanie II (wyczerpane).

Utwory dramatyczne. 2 tomy, z portretem autora przez L. Wyczółkowskiego, okładki i kolorowe rysunki A. Procajłowicza. D. E. Friedlein. Kraków 1901.

Zaczarowane koło. Baśń dramatyczna w 5 aktach, z portretem autora rysunku St. Wyspiańskiego i 12 ilustracyami z przedstawienia na scenie krakowskiej. D. E. Friedlein. Kraków 1902. Wydanie II (wyczerpane).

Awanturnik XVIII w. Szkic historyczno-obyczajowy. Spółka Wydaw. Pol. Kraków 1903.

Na zawsze. Dramat w 4 aktach z ozdobami A. Procajłowicza. D. E. Friedlein. Kraków 1903.

Pan Twardowski. Poemat w XVIII pieśniach, z ozdobami i ilustracyami A. Procajłowicza. D. E. Friedlein. Kraków 1906.

Sawantki. Komedya w 5 aktach Moliera, przekład wierszem. Spółka Wydaw. Pol. Kraków 1906.

Betleem polskie. Jesełka w 3 aktach z interludyami, zdobił i ilustrował W. Tetmajer. D. E. Friedlein. Kraków 1906.

Bodenhain. Dramat w 5 aktach. D. E. Friedlein. Kraków 1907.

Madejowe łoże. Stara klechda dla młodych czytelników w XX pieśniach. D. E. Friedlein. Kraków 1909.

POD PRASĄ:

Zaczarowane koło. Wydanie III. D. E. Friedlein. Kraków.

Poezye. Wydanie III, znacznie pomnożone. L. Idzikowski. Kijow.